№ 41. Warszawa, dnia 11 Października (28 Września) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

CO ROBIĆ?

Jeden z członków prowincyonalnego komitetu wsparcia dla powodzian zabrał w *Gazecie lubelskiej* głos, nad którym zastanowić się warto. W obrębie mu znanym nędza, sprowadzona wylewem Wisły, już wszędzie ustąpiła i drobna własność zapomóg nie potrzebuje. Ponieważ zaś z zebranych na ten cel składek pozostał jeszcze znaczny fundusz, więc zachodzi pytanie, co zrobić z pieniędzmi? Otóż korespondent taką daje odpowiedź: „Jako najbliższy miejscowości dotkniętej powodzią i ze sprawą pomocy, jako członek komitetu, obeznany, proponowałbym: aby przedstawić Komitetowi centralnemu w Warszawie projekt, iżby część sum ze składki zebranych przeznaczyć na wzmocnienie brzegów Wisły od Józefowa do Solca, a przygotowałoby się grunt pod wały, które są projektowane na lewym brzegu Wisły za pożyczone pieniądze gromadom włościańskim przez rząd. Tym sposobem trwale oszczędziłyby się setki morgów, zabieranych przez Wisłę, wskutek oberwania brzegów, przygotowałoby się grunt pod obwałowanie i uregulowałoby się koryto Wisły na przestrzeni 15 wiorst.“

Przed kilku tygodniami *Kuryer warszawski* zwrócił uwagę, że jak widać ze sprawozdań Komitetu centralnego w posiadaniu jego pozostaje dotąd, w porze kończenia zasiewów, znaczna suma, której nie użyto a która przedstawiała wówczas 20 tysięcy rubli. Jeżeli wyłączymy zbytnią powolność w rozdawnictwie zapomóg, okazywałoby się, że potrzebujących istotnie szybkiego wsparcia zabrakło. Zaznaczyć przytem należy, że i redakcye, widząc w ogłoszeniach Komitetu poważny zapas nierozdanej gotówki, nie spieszą się z przelaniem do jego kasy zgromadzonych u siebie ofiar. Tym sposobem w chwili obecnej może spoczywać co najmniej kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt tysięcy rubli, które nie mają należytego przeznaczenia. Dawać byle komu, aby wreszcie rozdać, chociażby wynagrodzić sowicie szkodę jednej przez wodę zalanej skiby — niepodobna. Czyżby więc nie było rozumniej: zwrócić dotychczasowy nadmiar i dalszy przypływ składek w kierunku innym a z dolą powodzian związanym, mianowicie w kierunku rady korespondenta *Gazety lubelskiej*?

Silne dla niej poparcie znajdujemy w *Przeglądzie technicznym*. Według tego pisma, pod Warszawą w kierunku biegu Wisły tegoroczna powódź czerwcowa wywołała znaczne zmiany, zwłaszcza w okolicach siekierkowskich. W obecnej chwili nurt rzeki znajduje się tuż przy prawym jej brzegu, Saska-Kępa wciąż jest podrywana, a piaski naniesione zostały na brzeg lewy. Przed dwoma laty nurt rzeki zwrócony był ku lewemu jej brzegowi, a przy krzywiźnie koryta kąt odbicia znajdował się przy łąkach siekierowskich, od strony Warszawy. Utrwalenie obecnego stanu rzeczy w obrębie miasta, o ile chodzi o kierunek nurtu, jest zadaniem oczekiwanej regulacyi rzeki. Gdyby do odpowiednich w tym celu robót przystąpiono bezwłocznie i stosownie wzmocniono brzegi, Saska-Kępa zostałaby zabezpieczoną, miastu przybyłby łan gruntu, wynurzający się pod postacią odsepów piaszczystych, a przedewszystkiem też zyskanoby punkt pewny dla założenia smoka. Dopóki regulacya przedsięwziętą nie zostanie, spodziewać się można corocznych zmian w kierunku biegu rzeki, a tem samem kwestya założenia stałego smoka pozostać musi w zawieszeniu. Naturalnie, że na razie, w ten czy w ów sposób, woda będzie mogła być czerpaną, ale okaże się potrzeba wykonania robót dodatkowych i poniesienia odpowiednich wydatków, a nadto wytworzy się wcale niepożądana tymczasowość.

Staje więc przed nami następująca kwestya: czy są jeszcze powodzianie, zasługujący na wsparcie, czy też ich niema? Kwestyę tę może i powinien rozstrzygnąć odpowiedniem wyjaśnieniem Komitet centralny, a w razie, gdyby on zawiadomił, że istotnie potrzebujących zasiłku pieniężnego już nie widzi, należałoby pozostałe fundusze użyć na wzmocnienie brzegów Wisły, co również byłoby dobrodziejstwem dla powodzian — w przyszłości. Jest to sprawa zbyt ważna, ażeby ją godziło się puścić mimo uwagi.

MĄDROŚĆ PO SZKODZIE.

Już przed kilku tygodniami zaznaczyła *Prawda* coraz częściej pojawiające się i wyraźniejsze oznaki zniechęcenia parlamentarzystów poznańskich obok niezadowolenia wszystkich wykształceńszych warstw społeczeństwa z ich działalności. Dowodem nastroju tego są artykuły gazet tamtejszych i cały szereg „listów otwartych,“ które usiłują wykazać słabe strony dotychczasowej taktyki parlamentarnej delegatów polskich w Berlinie. List taki wystosował także b. poseł do parlamentu niemieckiego, dr. Witold Skarzyński, który pismo swoje zaadresował „do centralnego komitetu wyborczego dla W. Ks. Poznańskiego.“ Przeznaczeniem jego ma być umycie rąk od dalszego posłowania, zawiera on jednak właściwie dosadną krytykę polityki Koła polskiego i wskazówki, jak z jałowej działalności przejść należy do pożytecznej.

Punkt ciężkości obrony interesów narodowych, prowadzonej przez posłów polskich w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim, polega na nieustannem przypominaniu postanowień traktatu wiedeńskiego z r. 1815, oraz przyrzeczeń królów pruskich. *Prawda* oceniała niejednokrotnie tę czczą gadaninę, powtarzaną aż do znu-

dzenia, a niewywołującą po stronie przeciwnej wrażenia najmniejszego. Atakuje ją także p. Sk., ale czyni to nieśmiało. W słowach jego czuć pewną chwiejność, jakby obawę przed krzykami traktatowiczów — lęk wobec nowego sztandaru. Zszywa go więc ze starym, skutkiem czego popełnia niekonsekwencyę, nie mogąc odpędzić nasuwającej się gwałtem wątpliwości. Bo zresztą „na jakich to — pyta — traktatach opierają się nasi politycy? Przecież one nie zawierają żadnej innej myśli przewodniej nad... równowagę europejską, a więc zasadę wręcz przeciwną idei, którą reprezentują polacy w Berlinie — idei narodowości!...“

Uwaga to bardzo słuszna i należało tylko wysnuć z niej wniosek, idący w kierunku zgoła przeciwnym dotychczasowej polityce poznańczyków. P. Skarzyński nie czyni tego jednak i staje w sprzeczności z samym sobą. Powoławszy się na ideę narodowości, chwali bezpośrednio potem „legalne“ stanowisko, jakie zajęli polacy, oparłszy się na prawnopaństwowej podstawie traktatów międzynarodowych. Co do nas, z różnych względów oświadczamy się kategorycznie za stanowiskiem pierwszem; bliższe jednak określenie jego i uzasadnienie pozostawiając sobie na kiedyindziej, przechodzimy do dalszych wywodów posła poznańskiego.

Cała dotychczasowa czynność delegacyi wielkopolskiej może wykazać jeden zaledwie dodatni rezultat — przyjęcie pierwszej połowy wniosku ks. Stablewskiego w sprawie języka przy nauce religii. Oto wszystko, co zrobiono przez lat trzynaście! Winę jałowości działań parlamentarnych składa p. S. wyłącznie na barki posłów polskich, nie wspominając zgoła o innych czynnikach. On sam był członkiem Koła polskiego, tem bardziej więc zasługuje na wiarę. Powodem nieporozumień są zatem, według jego zeznań, wady osobiste członków Koła, będące przywarami całego narodu, a mianowicie: brak ciągłej, sumiennej, umiejętnej pracy we wszelkich zawodach, pchanie się do politycznego życia ludzi, którzy prócz donośnego głosu i dobrej pamięci, potrzebnej do wyuczenia się mówki, nie mają odpowiedniego wykształcenia, brak zmysłu praktycznego, brak karności lub karność źle pojęta, polegająca na czołobitności przed pewnemi ambicyami politycznemi lub niepowołanemi powagami, niedopuszczanie wreszcie przez starszych młodej generacyi do życia publicznego.

Wśród takich stosunków w Kole polskiem nie mogło być ani mowy o jakiemkolwiek powodzeniu. Brak dodatnich skutków długoletniej roboty zwrócił jednak uwagę ludzi myślących krytycznie, a po zastanowieniu się i rozważeniu stanu rzeczy wywołał niezadowolenie, za czem znów poszło liczne opuszczanie stanowisk poselskich. Jednym z tych, którzy odmówili dalszego posłowania, jest także autor „Listu.“ Byłby to zwrot ku lepszemu, aby jednak był stanowczym, doradza p. S. przedsięwzięcie radykalnych zmian w dotychczasowej taktyce parlamentarnej. Wiedzy, pracy, odwagi!—woła. Co do ostatniej, odmówić jej chyba nie możemy Stablewskim i Kantakom, z jakiej przeto racyi podniesioną została, jako *nowe* hasło — nie rozumiemy. Ale za to podwójnie podkreślić należy każde słowo, nawołujące do pracy i nauki. Bo, jak sam autor, świadek naoczny, twierdzi, posłowie polscy ani w komisyach, ani w pełnej Izbie nie pracują, z przedmiotami obrad się nie zaznajamiają — stąd chwiejność i niepewność przy głosowaniu. Bywa też, że przy pierwszem czytaniu głosują: *tak* — przy drugiem... *nie*! A przecież tylko przez systematyczne branie udziału w czynnościach komisyjnych można zostać specyalistą parlamentarnym w tym albo owym zakresie. „Wszakże sam książę Bismark na męża stanu pierwszorzędnego wyrobił się przez parlamentarkę — on, prosty zrazu junkier marchijski! Pytam się zaś wszystkich wierzących... skąd się wezmą przy dzisiejszym trybie naszej polityki ludzie polityczni?... Czy parlamentarka, traktowana, jak dotąd, zdolna wyrobić choćby jednego urzędnika do przyszłych dykasteryj?... Najwięksi dzisiaj — *soit disant* — patryoci tej pretensyi chyba mieć nie mogą...“

Z powoływaniem się na traktaty stoi w związku protest przeciwko wcieleniu ziem polskich (właściwie tylko W. Księstwa Poznańskiego i Prus królewskich) do cesarstwa niemieckiego. Jest to stanowisko fałszywe z dwóch względów. Naprzód uchyla ono z pod opieki polaków (rzeczywiście pomijane i zaniedbywane) dwie prowincye: Szląsk i Prusy książęce. O tem jednak—stosownie do wyrażonej wyż zapowiedzi — pomówimy kiedyindziej, dzisiaj zaś podnosimy ten motyw tylko, który przytacza także p. S. Wskazuje on mianowicie na niekonsekwencyę, jakiej dopuszczają się posłowie wielkopolscy *stawianiem wniosków w parlamencie, którego nie uznają*. Wobec tego, jakiż wzgląd przeszkadza braniu udziału w pracach komisyjnych? A znowu powtórzyć musimy to, cośmy już wyżej powiedzieli, że samem młóceniem traktatów wiedeńskich ani praw należnych nie uzyska się, ani ludzi politycznych nie wykształci. Tymczasem zaś setki spraw, mniej lub więcej kraj obchodzących, rozstrzygają się w komisyach—bez polskiego udziału.

Z protestem wspomnianym i traktatami nie radzi p. S. rozstawać się zupełnie, ale w broni tej używaniu zachować pewną oszczędność. O ile zdołaliśmy wyrozumieć, chodzi mu o to, aby nie wykrzykiwać co chwilę haseł doniosłych, które ostatecznie stają się pustymi frazesami, ale określić stanowisko parlamentarne. Jest bowiem rzeczą ważną, aby nowi posłowie niemieccy rozumieli dobrze stosunek Koła polskiego do parlamentu cesarstwa. Tak radzi p. S. Z tego widzimy, że i on zasadniczego stanowiska posłów poznańskich nie opuszcza i staje po raz wtóry w jawnej sprzeczności z tem, co powiedział na początku, niecując myśl przewodnią postanowień traktatowych. Wahanie jego powtarza się kilkakrotnie. O kilkadziesiąt wierszy dalej spotykamy się z nowym pociskiem, wymierzonym w „mówki, naszpikowane traktatami wiedeńskimi i przyrzeczeniami królewskiemi,“ którym przeciwstawioną zostaje polityka „pozytywna, rozumna, praktyczna, na szerszej, zasadniczej podstawie oparta.“ Tę szerszą podstawę stanowią zaś: „prawo natury, idea narodowości, w końcu prawo do bytu, jakie daje siła moralna i materyalna, jakie daje praca, talent, wiedza, energia żywotna i wiara w siebie...“

W dalszym ciągu domaga się p. S. większej jawności dla działania polskich kół parlamentarnych. Co robią wielcy augurowie—kraj dowiaduje się zazwyczaj z pism zagranicznych, które o tajemniczych postanowieniach posłów polskich bywają lepiej poinformowane, aniżeli redakcye gazet własnych. Ten brak łączności z narodem — a łącznikiem najlepszym jest przecież prasa— tylko na złe wychodzi społeczeństwu. Sposób informowania, podany w „Liście,“ należy jednak odrzucić stanowczo. Radzi p. S. założenie organu (czy też wybranie ku temu jednego z istniejących pism). Byłby to rodzaj *Moniteura* Koła polskiego w Berlinie, podającego regularnie półurzędowe (dlaczegóż nie całkiem urzędowe?) *communiqués* o działalności posłów polskich, niemniej życzenia i opinie wszystkich warstw społecznych w kraju do użytku Koła.

Żąda wreszcie p. S., aby władza dyscyplinarna każdorazowego prezesa Koła była znacznie większą. Działo się dotychczas, że posłowie całymi miesiącami przesiadywali po za Berlinem, bawiąc w swoich dobrach albo zagranicą i dopiero na telegraficzne wezwanie prezesa zjeżdżając do stolicy, aby ją po oddaniu głosu jeszcze tego samego dnia opuścić.

---

2)

Z NIZIN.

Tymczasem w domu — nędza straszna! Bywało nieraz, że jedyną strawą stawał się chleb, z którego Nędzarska szczególną zupę umiała sporządzać. Krajała go w kosteczki, wpuszczała do zimnej wody, soliła i, dla okrasy, wlewała trochę starego oleju. To się zwało w języku ludowym „rule“ i tem się chłop biedny żywił w okolicy... Gdy herbaty nie stawało, pili cząber, czasem znów odwar z chleba przepalanego. Ten ostatni trunek gorzkawy miał smak, barwą herbatę przypominał. Świec nie było za co kupić, a od utrzymywania ciągłego ognia na kominie parno się robiło w mieszkaniu; pomysłowy Nędzarski łupał drzewo w cienkie listewki, zapalał je, znalazłszy zaś szczelinę w ścianie, wtykał tam. Kaszel ich później dławił, w oczy gryzło, ale za to było widno...

Nudno, ciężko, smutno się robiło na duszy wszystkim. Och! gdyby tak wyrwać się z tego otoczenia i znaleść w izbie jasnej, porządnie uprzątniętej, a na stole żeby samowar parą buchał, a koło niego stały szklanki czyste na miseczkach śliczniuchnych, z maśliczki kryształowej połyskiwało ponętnie masło żółte, chleb biały nos łechtał swym kwasem zdrowym. Z kuchni zalatywałby zapach mięsa, skwierczącego na patelni, gdy tymczasem dziatwa w sukienkach czystych, kolorowych, o twarzyczkach uradowanych i zdrowiem tryskających, okrążałaby stół, wiatr zaś letni, ciepły oknem, firanką haftowaną przyozdobionem, co chwila wnosiłby oddechy rezedy wonnej i pobekiwania krów, z dąbrowy wracających. Tak było dawniej, w Cudzynie... Obrazy te budziły się w pamięci Nędzarskiej, spoczywającej na łóżku i dym od zaimprowizowanych świec męża połykającej.

— Nie — nie może tak być dłużej! — wyrwało się wtedy ze ściśniętej żalem krtani Nędzarskiego — krtani, bo dawno już, bardzo dawno, serce, niepokoju pełne, nie pozwalało mu z głębi piersi dźwięcznie mówić. Jutro zabieram Henrysia i objeżdżamy znajomych.

— Boże! Boże! — jęczała rozpaczliwie żona — żebrać!.. Na tośmy zeszli już!..

— Tfu! do licha!.. Zaraz—żebrać!.. Pojadę naprzód do Hulajskiego — mówił, jakby do siebie — młocarnia mu się zepsuła, a wiesz przecie, kochanie, żem do wszystkiego majster. Wszak w Cudzynie sam budowałem i reparowałem młyny i młocarnie nasze. Więc — do Hulajskiego naprzód... Tam młocarnia... Później... aha!.. Później do Żołnierkiewicza. Młyn mu oddawna nie działa. Trzeba sobie radzić, nim posada znajdzie się jaka...

Otóż i instytutu doczekał się Henryś, co po dźwięku, z drugiego pokoju zasłyszanym, literę poznawał!..

Długo Nędzarski objeżdżał tak dzierżawców, jednym młocarnie, drugim młyny reparując. Nędzarskiej było smutno z dwojgiem dzieci młodszych. Tygodnie często całe mijały w oczekiwaniu i tęsknocie ciężkiej. Niemoc ogólna i pognębienie rzucały ją na łóżko, gdzie leżała godzinami całemi, pokaszlwiając. Nie mogła inaczej! Strawa nędzna i widok zaniedbania wewnętrznego i zewnętrznego dzieci wycieńczyły ją tak, że pokoju wąskiego przejść w poprzek nie mogła krokiem niechwiejnym i głowy z tyłu poduszką nie podtrzymując.

Inne punkty p. S. pomijamy, bo takie hasło, jak np.: „potrzeba stanąć, jak jeden mąż, w obronie tak mocno zagrożonych interesów naszego rolnictwa, przemysłu, rzemiosł itd.“ wyczytać można na każdym innym sztandarze. Drukować się je zwykło najtłustszemi czcionkami. Zamykamy więc nasze sprawozdanie z „Listu otwartego“ p. Skarzyńskiego; wypada nam już tylko podnieść sam fakt ukazania się tego pisma. Przyzwyczajeni do wichrzeń w imię osobistego interesu z jednej, albo „karności,“ objawiającej się wstrętem do wszelkiej krytyki z drugiej strony—z zadowoleniem spoglądamy na spokojny, naturalny ruch umysłów w tej dzielnicy właśnie, w której obok zupełnej abnegacyi w sądzeniu spraw publicznych na rzecz kilku jednostek spotkaliśmy się niedawno z karygodnym objawem dążności odśrodkowych, z nowożytnym przykładem staropolskich konfederacyj. P. Sk. nie wyświetla wprawdzie wszystkich przyczyn niepowodzeń i zawodów delegacyi wielkopolskich i lekarstwa — o ile to możebnem jest w tamtejszym klimacie politycznym — nie podaje na choroby radykalnego, ale choćby samem już zwróceniem uwagi na niedostatki i błędy oddaje społeczeństwu prawdziwą przysługę.

Rewera.

KONKURENCYA ZBOŻOWA.

II.

Widzieliśmy poprzednio, iż ścisła zależność, jaka wiąże społeczeństwa dzisiejsze w ich działalności ekonomicznej, zmusza każde z nich do zastosowywania swej produkcyi wewnętrznej według potrzeb i wymagań rynku powszechnego. W takim systemie celem bezpośrednim pracy narodowej staje się nie zaspokojenie potrzeb samych wytwórców, lecz zastosowanie się do popytu i spożycia zagranicznego. Wszelki więc wypadek, oddziaływający na stan rynku powszechnego, sprowadza w gospodarstwie wewnętrznem krajów takich pewien zamęt chwilowy, będący wskazówką, iż odpowiedniość pomiędzy kierunkiem ich produkcyi, a wymaganiami rynku powszechnego przestaje mieć miejsce.

Wypadek podobny zdarzył się u nas obecnie, gdy płody rolne naszego kraju przestały znajdować konsumentów i nabywców zagranicznych.

Jeżeli więc snuć będziemy dalej logiczną nić następstw, jakie w gospodarstwie naszem pociągnąć za sobą może współzawodnictwo zbożowe z Ameryką — przedstawi się nam obraz następujący.

Przedewszystkiem i bezpośrednio ucierpieć muszą, jak widzieliśmy, gospodarstwa wielkie, bo one na wywozie przeważnie byt swój opierają. Skutkiem tego oczekiwać można pewnych zmian w układzie dotychczasowym stosunków rolnych. W chwili, gdy władanie ziemią przestaje być korzystnem dla celów gospodarstwa wywozowego, przechodzić ona zacznie w ręce tych, którzy jej dla siebie potrzebują. A takich—pomimo, iż znaczne zapasy zboża butwieją po składach, nie znajdując nabywców—jest u nas w kraju liczba poważna. Takimi są ci wszyscy włościanie, którym rok rocznie na przednówku głód do chałupy zagląda; ci dalej, którzy, chociaż może głodu nie często zaznają, lecz radziby kartofle na pokarm bardziej pożywny zamienić; ci nareszcie, którzy dziś jako czeladź i parobcy pracują na gospodarstwach dworskich, lecz w razie częściowego upadku tych ostatnich zostaną pozbawieni zarobku. Kategorye to liczne i z pewnością chętnych nie zbraknie. Jeżeli dzisiaj, pomimo bajecznych cen, które dochodzą do 9000 rs. za włókę, rozkupywanie własności wielkiej przez chłopów odbywało się gęsto po całym kraju, to nieuniknione w takich razach obniżenie cen ziemi rozszerzy znacznie koło nabywców. Jak daleko proces ten rozwinąć się może, tego dziś jeszcze określić niepodobna. Że się wszakże spotęgować musi — jest rzeczą pewną, bo warunki, które go wywołały, silniej jeszcze działać poczną. Niejeden właściciel ziemski w trudnych okolicznościach obecnych, ratując swe interesy prywatne, uciec się będzie musiał do sprzedaży ziemi, by w innej gałęzi produkcyi krajowej szukać zastosowania dla swych zasobów społecznych i sił osobistych. O ile w takich wypadkach pożądaną by była pomoc państwowa — dowodzić nie potrzebujemy. Ona jedna zdołałaby nadać procesowi temu bieg prawidłowy, ułatwiając z jednej strony wyzwolenie kapitałów tym, dla których uwięzienie ich w roli przestaje być korzystnem, z drugiej zaś, pomagając przechodzeniu ziemi do rąk tych, którzy jej najwięcej potrzebują. W braku pomocy państwa, podjąć się w części zadania tego mogą instytucye prywatne w rodzaju dorządzanych kiedyś banków regulacyjnych lub towarzystw kredytowych dla włościan.

Tak się przedstawia nam jedna strona następstw, która sprowadzić u nas musi upadek rolnego gospodarstwa wywozowego, jeżeli tylko żadne czynniki poboczne nie zmienią ogólnego dążenia wypadków.

Zupełnie niezależnie od oceny subjektywnej przełomu tego, nie rozstrzygając pytania: czy go za pożądany, czy też za szkodliwy uważać mamy, jest on — logicznie rzecz biorąc — nieunikniony. Mowa może być tylko o sile i rozległości procesu rozdrabniania własności wielkiej. Lecz faktu tego nie stworzyła żadna teorya, nie wymyślił go żaden marzyciel. Wypłynął on sam przez się, jako objaw naszego życia ekonomicznego, a nowopowstające czynniki zewnętrzne zdają się mu dopomagać skutecznie. O ile więc podnosimy doniosłość konkurencyi zbożowej dla rolnictwa krajowego, o tyle też donioślejszych następstw w kierunku powyżej zaznaczonym oczekiwać należy. Ogólnym ich wynikiem byłby upadek gospodarki kapitalistycznej w stosunkach rolnych, zamiana handlu wywozowego przez wzrost konsumcyi miejscowej. Gdy bowiem uposażenie gruntowe włościan wzrośnie, podnieść się musi stopień ich dobrobytu życiowego. A nie jest to rzeczą małej wagi wobec faktu, że — z wyjątkiem może jednej Irlandyi—nigdzie w Europie pożywienie ludu tak mało nie odpowiada wymaganiom hygieny i fizyologii jak u nas, na co częstokroć zwracali uwagę badacze cudzoziemscy *).

Fakt ten jednak—który w oczach wielu zapewne sam przez się nie będzie miał wielkiej wagi—nabiera u nas jeszcze większego znaczenia z następującego powodu. Sądzimy mianowicie, iż jedynie w podnie-

*) Nawet porównanie z Cesarstwem wypada na naszą niekorzyść. Gdy bowiem w guberniach wielkorosyjskich na 1 mieszkańca przypada zbioru rocznego kartofli 1/3 czetwierti, w baltyckich—1 1/2, w zachodnich 1,3, w Królestwie wynosi 2,7! (Urzędowy *Zbiór wiadomości o rolnictwie i przemyśle rolnym*, Petersburg 1880, II). Niejednokrotnie już ekonomiści zaznaczali, że w miarę rozwoju gospodarki kapitalistycznej od ludu odpadają po kolei najlepsze przedmioty jego spożycia. Zboże ustępuje kartoflom, płótno i wełna — bawełnie, piwo i wino—wódce itd. Jest to prosty wynik zmniejszenia środków nabywczych u klas pracujących. W Rosyi obliczenia wykazały, iż coroczne powiększenie długości dróg żelaznych zmniejsza spożycie ludu, tak co do ilości, jak i co do jakości. W miarę jak się powiększa wywóz zagranicę, coraz mniejsza ilość zboża spożywa się na miejscu; wywóz więc nie unosi nadmiaru rzeczywistego, lecz odejmuje wprost od ust dotychczasowych konsumentów. W latach 1871—72, 73—74, 75—76, 77—78 — wywóz stanowił 9,8%, 12,4%, 13,5% i 18,2% ogólnego zbioru; zaś konsumcya zmniejszyła się w tym czasie o 14%! (Nm. „Oczerki naszewo choziajstwa.“ *Słowo*, 1880).

Ani z kim pogadać, ani przed kim serca otworzyć żalem wezbranego. Dzierżawczyni jej na powierzchnię się nie zdała; przychodziła po to, żeby się do syta nagadać o gospodarstwie swem, doznawszy zaś uczucia niemiłego na widok biedy, perorą jakąś na temat niezaradności pogawędkę swą kończyła.

Miała za to mir u maluczkich. Kilka razy na rok nawiedzała ją chłopka, piastunka niegdyś jednego z dzieci jej. Przywoziła zawsze przysmaków dużo kmiecych, orzechów, nasienia z dyń suszonego, ulęgałek. Gościła po tygodniu nieraz, przypominając kobiecie biednej czasy lepsze. Za tych czasów lepszych sługi trzymały się jej długo, bo i przewinienia grubego się dopuściwszy, łagodnego tylko napomnienia wysłuchiwać musiały.

— To dobra Laszka, nie taka, jak dzierżawczyni albo Hulajska, co to za włosy człowieka nieraz porwie i w piersi cię tak grzmotnie, że aż przeleżeć musisz.

Tak się wyrażały o niej i o innych.

Dostał mąż nareszcie posadę, przyjął go pewien ziemianin na głównego stróża lasu.

— Och, chwałaż ci, panie na wysokości!— wyrwało się dziękczynienie z piersi Nędzarskiej. Będziemyż nareszcie mieli kawałek chleba cichego i dom, gdzie nam nikt nie poważy się spokoju zakłócić!.. Podziękujcie, dziateczki, Bogu!.. Modliłyście się do przemienienia Pańskiego, ot, Bóg litościwy i przemienił!...

Zakrzątała się raźniej, twarz jej o policzkach zapadłych powesełała. Wieczorem prawie cała rodzina dzierżawcy się zebrała w gościnę do niej, tak samo, jak zwykle wieczorami jesiennymi i zimowymi, z kądzielą, z drutami, kłębkami—wszelką robotą kobiecą. Zdziczałe malcy darły się wniebogłosy, ale tym razem nie raziło to wszystko jej uszu tkliwych. Nie dała się nawet, wbrew zwyczajowi, długo prosić o zagranie czegokolwiek. Siadła do fortepianu i za chwilę obdarzyła słuchających polonezem Ogińskiego, później następowały walce, mazury, zakrojem swoim i melodyą ostatniej przeszłego lub pierwszej ćwierci obecnego wieku sięgające.

W mróz trzaskający, w dzień, kiedy to promienie słoneczne, odbite białością płaszczyzn śnieżnych, olśniewają oczy, że później, w mieszkaniu jeszcze, długo przedmiotów rozróżnić nie można, jechała Nędzarska z dziećmi. Za nią się wlokły sanie, gratów domowych pełne. Jechała do męża, pełniącego samotnie nowoprzyjęte obowiązki leśniczego. Na wstępie, o ile wzrok oślepły od blasku pozwalał, dostrzegła kogoś, co w kożuszku baranim po kolana, mało się dawniej od białości śniegu różniącym a z powierzchnią dziś zamorusaną, uwijał się koło sań, drwami naładowanych. Końce szala jakiegoś brudnego i poszarpanego, co kożuch opasywały, igrały z wiatrem, czapka z uszami, wciśnięta aż na potylicę, do śmiechu pobudzała, litości napędzając do serca dla jej posiadacza. Twarz dawno nie golona, od mrozu sina. To jej mąż! Łza trysnęła z oka, pierwej jedna, potem druga, grad cały! A wszystkie słone takie, gdy która aż do kąta ust się dostanie, lodem się ścinające... Krzyczał na gajowego, żeby wozy przejął, co chciały się wymknąć z lasu niedostrzeżone i dobro pańskie unieść zsobą. A wszak od tego stróżem jest! Krzyczał, a głos wydawał się takniklym, zamierającym w powietrzu mroźnem!.. Sanie żony uwikłały się w chłopskie!

— Jakże jedziesz u licha? — dostało się jej nie wiadomo za co, chyba że zziębnięty i zniecierpliwiony był. Ej, chamy! Sanie w bok!..

sieniu dobrobytu materyalnego ogółu mieszkańców krajowych przemysł nasz warunki istnienia i rozwoju na przyszłość znaleść może.

Kwestya rynku na wytwory fabryczne jest, jak wiadomo, dla przemysłu pierwszorzędną. Kraje, które pierwsze zastosowały u siebie produkcyę na wielką skalę, wejść mogły na drogę kapitalistycznego rozwoju. Szukając przedewszystkiem rynków zagranicznych, nie potrzebowały troszczyć się wielce o dobrobyt klas pracujących u siebie. Przeciwnie, nawet zubożenie tych ostatnich sprzyjało poniekąd rozwojowi przemysłu, który zdobywał sobie w ten sposób tanią i liczną siłę roboczą. I w istocie dzieje przemysłu fabrycznego i produkcyi na wielką skalę przedstawiają nam ciągłą pogoń za rynkami zewnętrznymi, a te kraje, którym w tym kierunku najpomyślniejsze udało się zdobyć rezultaty, najwięcej też posunęły się po szczeblach kapitalizmu.

Nasze położenie jednak pod tym względem jest całkiem odmienne. Występujemy na arenę ekonomicznej walki międzynarodowej w chwili, gdy dotychczasowym bojownikom jest już na niej za ciasno. Nietylko nie możemy marzyć o zalewaniu wyrobami naszego przemysłu fabrycznego rynków zewnętrznych, lecz dużo zrobimy, gdy zdołamy stawić czoło produkcyi zagranicznej na własnych rynkach krajowych. Zwłaszcza w krytycznej dla nas chwili przesilenia rolnego, jeżeli chcemy utrzymać kulturę naszą na dotychczasowej stopie, musimy własnemi siłami zastąpić to, cośmy dotąd za zboże polskie z zagranicy dostawali. Z drugiej znów strony, dla nadmiaru produkcyi rolnej naturalnym spożywcą, w razie upadku wywozu, może być tylko ludność przemysłowa kraju.

Dotychczasowy postęp przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskiem zdaje się przeczyć słowom powyższym. Wstąpiliśmy—zdawałoby się—na tę samą drogę, po której kroczą stare społeczeństwa europejskie, rozwijaliśmy swój przemysł zupełnie niezależnie od stanu ekonomicznego własnego ludu. Lecz bliższe rozpatrzenie wyjaśni nam tę pozorną sprzeczność.

Faktom, który najsilniej oddziałał na rozwój przemysłu u nas, było zniesienie linii cłowej pomiędzy Królestwem i Cesarstwem, a następnie połączenie Warszawy drogami żelaznemi z głównemi miastami rosyjskiemi. To stworzyło nam odrazu obszerne rynki na Wschodzie, kapitały niemieckie przypłynęły, produkcya się wzmogła, nastąpiła era rozkwitu. Wysokie cła na wyroby zagraniczne, a następnie upadek kursu pieniędzy krajowych — oddziałały jeszcze silniej w tym samym kierunku. Lecz powodzenie nasze na tem polu jest niepewnem i chwilowem: ustać ono musi z okrzepnięciem przemysłu rosyjskiego, co już zdaje się niedługo każe na siebie czekać.

„Jeżeli—pisze Wrotnowski *)—rosyjski przemysł fabryczny nie przestanie czynić postępów takich, jak te, które zrobił w ciągu ostatnich lat 10—o czem wątpić niema powodu — to za lat 50, a nawet być może wcześniej, rosyjskie produkcye fabryczne staną na równi z zagranicznemi. Nie Rosya będzie wtedy zmuszoną odgradzać się od Europy cłami ochronnemi, lecz przeciwnie Europa znajdzie się w konieczności ustanawiać cła, któreby przemysłowi rosyjskiemu przeszkadzały przechodzić za granicę. Przewaga w walce byłaby po stronie wytworów rosyjskich. Naturalne zasoby i obfitość materyałów surowych, spryt i zdolność handlowania kupców rosyjskich, mieszczan i włościan, taniość robotnika—doprowadzą z czasem do tego, że koszt fabrykacyi wyrobów będzie tu o wiele niższym od takiegoż kosztu wyrobów europejskich....“ „...Wprzód zaś, nim rozpocznie walkę z zagranicą, przemysł rosyjski pokona w granicach Cesarstwa produkcye polskie, a nawet miejsca zbytu w Królestwie zagarnąć zechce...“ „...Że walka już została rozpoczętą, mogą tego nie uznawać tylko ci, którzy faktów widzieć nie chcą. W ogólnej regule *wyroby polskie już nie idą do rosyjskich miejsc zbytu*. Cukier, powozy i niektóre artykuły mody, idące jeszcze z Warszawy do Petersburga, Rygi i innych miast, uwydatniają tę regułę, skoro stanowiącej wyjątek; ulegmogą losowi tylu innych wyrobów, które przemysł rosyjski już wyrugował... jeden cukier zdaje się mieć odbyt zapewniony... Natomiast wyroby rosyjskie przepełniają już sklepy warszawskie i innych miast Królestwa: takimi są tytoń, papier, świece stearynowe, zabawki dziecinne, cukry czekoladowe, bławaty wschodnie itp... Jest to dopiero początek akcyi, którego jednak lekceważyć nie należy...“

Tak pesymistycznie charakteryzuje widoki przemysłu naszego w Rosyi niewątpliwy znawca tej kwestyi. Ostatnia więc nadzieja, która dotąd tak słodką iluzyą łudziła przemysłowców naszych, rozwiewać się zaczyna.

Jeżeli więc ani w jednym, ani w drugim kierunku zbytu dla wytworów naszych nie mamy, któż będzie ich spożywcą, dla kogo przemysł nasz będzie produkował?

Nie potrzeba zbytniej przenikliwości, by przewidzieć, iż on w takim tylko razie warunki trwałego rozwoju posiądzie, jeżeli zdobędzie sobie obszerne rynki miejscowe, t. j. zacznie zaspakajać potrzeby konsumentów krajowych. Koło ich musi być obszernem; nie dadzą go same sfery t. z. inteligentne, ani nawet miasta jedne. Przemysł nasz musi szukać nabywców w ludzie, w masach wieśniaczych. Stać się to może, oczywiście, wtedy dopiero, gdy środki nabywcze ludu podniosą się znacznie po nad stopę dzisiejszą, t. j. gdy wzrośnie ogólny jego dobrobyt materyalny, i—co za tem idzie— gdy rozszerzą się i wykształcą jego potrzeby. I znowu, sądzę, nie będzie bezpodstawowem przypuszczenie, że z pośród włościan, dobrze uposażonych w ziemię, którzy więc uzyskają główną podstawę, punkt wyjścia dla swej zamożności — klasa nabywców, o jakich tu chodzi, z łatwością i szybko wytworzyć się może. Po dojściu do pewnego stopnia dobrobytu i niezależności ludzie szybko się posuwają po szczeblach kultury: obyczaje się kształcą, rozwijają się nowe upodobania. I w tem właśnie przemysł krajowy podstawy realnej dla siebie szukać powinien. Musi on przyjąć odmienny nieco charakter, zmieniając dotychczasowy swój kierunek, gdyż nowa kategorya nabywców włościańskich nada mu cechę bardziej demokratyczną. Głównem zadaniem jego stanie się produkcya wytworów użytku powszechnego, nie zaś zbytku i przepychu *).

Myśli powyższe na pierwszy rzut oka zbyt śmiałemi się wydają. Wypowiadamy je z ostrożnością, z jaką w tak zawiłych sprawach wogóle prorokować wolno. Wszakże wnioski nasuwają się tu same przez się. Widzimy z jednej strony, iż upadek wywozu doprowadzić musi do przechodzenia ziemi w ręce ludu, co, przy umiejętnie prowadzonej polityce ekonomicznej państwa, przyczynić się powinno do podniesienia materyalnego dobrobytu tej klasy. Z drugiej zaś strony widocznem jest także, iż u nas przemysł tylko na masach oprzeć się może, bo nie mając rynków zagranicznych, wpośród ludu obszerne koło nabywców wynaleźć powinien.

Nie ulega wątpliwości, iż przy podobnym obrocie naszych stosunków gospodarczych, zbliżalibyśmy się coraz bardziej do typu gospodarstwa narodowego, zamkniętego w sobie. Jest to ideał, o którym

*) Antoni Wrotnowski. *Przemysł fabryczny w Galicyi*. Str. 66 – 72.

*) I zdaje się pierwsi krawcy berlińscy zrozumieli dokładnie, jakiego rodzaju produkcye w kraju naszym znaleść mogą zbyt zapewniony i licznych konsumentów. Zaczęli na wielką skalę szyć sukmany i kierezye krakowskie i po jarmarkach prowincyonalnych je rozsyłać.

A chamy patrzą mu w oczy, jedni głupio, drudzy wyzywająco, i tak powolnie, ociężale, rozkaz jego spełniają.

Przysunął się do żony i przytknął do jej twarzy usta swe zimne i wąsy oszronione— raz tylko. Dzieci znów — przytknęły swe drżące i sine usta, także raz tylko do jego ręki, dymem tytoniu przesiąkniętej. Powitali się. Nie czule na oko, ale ile jeszcze na dnie serca zostało! Wszyscy, z małym wyjątkiem, członkowie rodziny tej niezręczni i ubodzy byli w oznakach uczuć.

— Dobrze, żeście przyjechali—cieszył się stary.

Myliła się Nędzarska, spodziewając się mieszkania, gdzieby nikt nie śmiał spokoju zakłócić. Pierwsza izba zajęta była przez żydów. Czosnek i par przesycał powietrze, dławiąc jej płuca wątłe. Bełkotanie ich i kiwanie się koło sprzętu każdego napotkanego z rana i wieczorem się powtarzały, kiedy wstawali i wracali z lasu. Byli to cieśle, nasłani przez dziedzica dla budowania dziegciarni. Druga więc izba tylko służyła za pomieszkanie dla Nędzarskich.

Oprócz doglądania lasu i wyrobu w nich towaru na sprzedaż, włożony był na Nędzarskiego obowiązek szynkowania gorzałki. Chlebodawca miał kilka gorzelni, w lesie było dużo robotników, ciosających belki i klepki, każdemu z nich zachciewało się rozgrzać... Otóż tego się winien był chwytać Nędzarski i sprzedawać im wódkę na rachunek jutrzejszego zmęczenia mięśni. Wszak to zysk oczywisty!..

Biedna jego żona! Czego się ona nie nasłuchała z tego powodu. Bywało, śpią już, w tem okropne rozlega się kołatanie do drzwi i klątwy.

— Kto tam? — wybiega głos z łóżka.

— „Kto tam, kto tam!“ — przedrzeźniano — ot, wstawaj lepiej, Lachu, ta wódki daj! Rozgrzać się trzeba!... Na dworze zimno!

„Ej tam dołem, dołem, po Kazance,
Brzegiem rzeczki kaczor pływa itd.“

Zawiedzie któryś nutę zawadyacką.

„Ej! czy widzisz? ej, czy słyszysz?
Siwy kaczor pływa.“

— „Ej! czy widzisz? ej! czy słyszysz?“ — wyrazi się jeden z chóru i zacznie sobie w takt okienicą o szyby tłuc.

— „Siwy kaczór pływa!“ — zakończy znowu drugi, silniej grzmotnąwszy — nuż, Lachu, dość spać! Wstawaj, wódki daj!..

I sprosnym wyrazem zapieczętuje.

Nędzarskiej zęby szczękają ze strachu, drży febrycznie. Mąż, pokrektując, opuszcza łóżko, odzywa się reumatyzm, w celce nabyty...

— Czy nie przestaniecie tam?! Bodaj was kaduk! — i zabiera się do dalszego gromienia.

— Daj... spokój... mój drogi!.. — jęczy żona w ataku nerwowym. Czyż nie wiesz?.. To zbóje!..

A byli to tylko prości kacapi, z odległych guberni przez dziedzica do pędzenia dziegciu sprowadzeni.

Nędzarski miał zgryźliwe usposobienie. Ten jego przymiot, gdy się doń jeszcze popędliwość krewka domieszała, niejedną łzę wycisnął z oczu żony i nieraz serce jej trwogą przejął.

(D. n.).

marzył u nas Supiński, a który wpośród ekonomistów niemieckich ma licznych zwolenników. Podstawą jego jest przeważnie konsumcya miejscowa, krajowa, wymiana i obrót wewnętrzny, z małym tylko dowozem i wywozem zagranicznym. Ziemia straci przytem ten charakter towaru, jaki w ostatnich czasach coraz bardziej przybierać zaczynała. Przestaje być przedmiotem handlu, a głównem zadaniem produkcyi rolnej, jest wyżywienie naprzód samych wytwórców, a po za nimi ludności fabryczno-przemysłowej w kraju.

Wszakże podobne przekształcenie stosunków ekonomicznych musi być gruntownem i głęboko sięgającem, jeżeli ma być trwałem. Nie da się ono uskutecznić w krótkim czasie — to rzecz pewna. Wątpić nawet można, czy inicyatywa prywatna jest w stanie wywiązać się należycie z podobnego zadania. Na całym świecie dzisiaj myśl o konieczności udziału władzy państwowej w sprawach ekonomicznych narodu coraz więcej zyskuje zwolenników zarówno w kołach myślicieli i teoretyków, jak i w sferach rządzących. Nawoływanie państwa do przedsięwzięcia środków zaradczych wobec grożących klęsk ekonomicznych jest wszędzie na porządku dziennym. Czy i o ile my na coś podobnego liczyć możemy — powiedzieć trudno. Nadzieję pewną w tym względzie budzić może ta okoliczność, iż w położeniu pokrewnem do naszego znajduje się wraz z nami Cesarstwo całe, że więc i tam wpodobnym kierunku sprawy toczyć się muszą.

A. Zakrzewski.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, wrzesień.

Ruch przedwyborczy. — Rzut oka na ideały i hasła polityczne. — Całość państwa i nietykalność własności. — Maryonetki i reżyserya. — Zjazdy: inżenierów; misyi wewnętrznej. — Czem jest owa misya? — Kandydat republikanin w Oldenburgu. — Afryka niemiecka, czyli Niemcy afrykańskie.

Wybory do sejmu niemieckiego już zapowiedziane; agitacya przedwyborcza ujawnia się po wszystkich zakątkach; dzienniki niemieckie pełne są rozpraw i polemiki z tego powodu; odbywają się zjazdy rozmaitych związków, stronnictw, prowincyj; tu, w Heidelbergu zgromadzili się parę razy tak zwani narodowo-liberalni i uchwalili program działania, noszący nazwę „uchwał heidelberskich;“ — wszystko to skłania, zmusza nawet mnie, jako waszego współpracownika heidelberskiego, do pomówienia o polityce wewnętrznej Niemiec. Chociaż więc oddawna wziąłem sobie za zasadę jak najmniej zaczepiać niemiłej dla mnie tej kwestyi, muszę jednak od czasu do czasu oderwać wzrok od tych sfer działalności ludzkiej, w której niemcy są sympatyczni i czegoś warci, i przenosić go na ten zakres czynności, w którym się oni okazują doprawdy bardzo mało sympatycznymi, a jeszcze mniej czegoś wartymi.

Ażeby zrozumieć należycie obecne położenie wewnętrzne Niemiec, trzeba się cofnąć myślą nieco wstecz i przywołać sobie na pamięć pewne niezłomne i nieuniknione prawa historyczne.

Życie polityczne niemców bardzo niedawnej jest daty. Tysiącletnie ich dzieje przed stuleciem bieżącem, oprócz kilku chwil w wieku XVI, nie mogą być uważane za objaw dojrzałej lub przynajmniej coś wróżącej akcyi politycznej; była to epoka dzieciństwa, doba rządów mniej lub więcej patryarchalnych. Pierwsze drgnienia polityczne objawiły się w ostatnich latach przed upadkiem Napoleona I. Rządy, upadające pod jego przemocą, odwołały się po raz pierwszy do narodu, przyrzekając mu wiele. Później, gdy już „porządek przywrócono,“ obietnice te jakoś poszły w niepamięć. Ale raz poruszone masy nie mogły wrócić do odwiecznych powijaków, tem więcej, że w krajach ościennych, we Francyi i Polsce (nie mówiąc już o odleglejszej nieco Anglii) weszły w życie urządzenia konstytucyjne. Nic nie pomogły zabiegi „świętego przymierza.“ Liberalizm rósł i szerzył się jak lawina. Nadszedł rok 1830 i drugiem, daleko już silniejszem drgnieniem zelektryzował rzeszę. Okres od 1830 do r. 1848 był potem już dla niej ustawicznym zapasami reakcyi rządowej Fryderyka Wilhelma IV i Metternicha z olbrzymiejącą codzień „hydrą rewolucyi.“ W latach 1848 i 1849 wybuchły oddawna gromadzące się zasoby palne. Pożar ten jednak trwał niedługo; tem się jednak różnił od iskier z lat 1813 — 1815 i z r. 1830, że pod popiołem reakcyi zostawił takie żarzewie, którego już niczem nie udało się potem przygasić: rok 1848 zmierzał do rzeczypospolitej, ale, nie osiągnąwszy jej, zostawił konstytucye, mało wprawdzie liberalne, lecz w każdym razie prawnie upoważniające jeżeli nie całą ludność, to przynajmniej cząstkę jej do udziału w rządach. Zanotujemy przy tem, że doktryneryzm liberalny z lat 1815 do 1848 nie cierpiał republikanów, — a takimi byli rewolucyoniści z lat 1848 i 1849 — i nigdy im zachcianek rzeczypospolitej nie przebaczył, głosząc później, że przesadzonemi wymaganiami uniemożebnili i zdyskredytowali liberalizm umiarkowany, na wzór angielskiego — bo instytucye angielskie były ideałem i celem dążenia doktrynerów szkoły tak zwanej gotajskiej.

Gdziekolwiek życie polityczne zaświtało, tam na sztandarze postępu wypisano trzy słowa, niby hasła i zamiary: wolność, równość... i trzecie hasło nie wszędzie jednostajne: francuzi pisali *braterstwo*; rzeczpospolita francuska przybrała sobie za godło predykaty „une et indivisible.“ Bądź co bądź, w trzech tych słowach programowych streszcza się cały prąd akcyi polityczno-wewnętrznej czasów nowożytnych. To jednak zwraca uwagę każdego, kto się stara zrozumieć rozwój dziejowy doby ostatniej, że godła te nie jednocześnie i nie z równą siłą umysłami i sercami wstrząsają. Okoliczności miejsca i czasu są przyczyną ciekawego zjawiska tego, że raz jedno, znowu inne hasło elektryzuje masy; a gdy jedno opanuje pragnienia ogółu, to inne stają się prawie obojętnemi, przynajmniej na czas jakiś. I tak np. anglik stokroć dzisiaj jest wrażliwszym na okrzyk: *wolność*, niż na ideał *równości*. Francuz na odwrót, mniej ma zmysłu do *wolności*, daleko więcej do *równości*. Są znowu chwile, gdy i *wolność* i *równość* stają się obojętnymi dźwiękami: dusze pragną tylko *całości*, *jedności* lub *zjednoczenia*, albo też *niepodległości*, i gotowe są pierwszemu lepszemu zbawicielowi, czy przywłaszczycielowi bez targu sprzedać *wolność* i *równość*, byle tylko zdobyć *całość*.

Otóż niemcy od r. 1870, a właściwie od czasów Napoleona I, znajdują się (jak Włochy średniowieczne i nowożytne) pod urokiem pragnienia *jedności* i *całości*. *Wolność* i *równość* mniej, a dziś nawet lekce sobie ważą. Zdaje się im, że byle tylko posiedli *zjednoczenie* całości swej ojczyzny, tamte hasła same przez się przyjdą.

Z drugiej znowu strony nie należy zapominać, że *wolności* dobija się zwykle nie cały naród, lecz pewna jego cząstka, pewna warstwa lub klasa. Tak np. wzaraniu dziejów nowszej doby znajdujemy wolność zdobytą, używaną i nadużywaną w rękach jednego tylko stanu, mianowicie duchownego. Po nim zwykle szlachta dopominać się zaczyna swojego udziału w rządzeniu krajem, czasami cała (jak w Polsce), czasami mniejsza jej tylko cząstka (jak w Angli). Dalej występuje z roszczeniami stan trzeci, po nim stan czwarty. W Stanach Zjednoczonych, w Szwajcaryi i Francyi cały naród (to jest męska jego połowa) wywalczył już sobie prawa polityczne. W innych krajach tylko duchowieństwo i szlachta (jak np. u nas), a w innych znowu trzy stany wyższe; takich krajów jest obecnie najwięcej; do rzędu ich należą Niemcy.

Stan trzeci — inteligencya mieszczańska: uczeni, adwokaci, kupcy, finansiści itd. — stał na czele ruchu liberalnego w Niemczech aż po rok 1848. Osiągnął on pewne zdobycze i wyzyskał je na rzecz swoją, oraz dwóch innych wyższych stanów—o czwartym niebyło mowy. Obecnie wystąpił i ten ze swemi roszczeniami: pojawiła się tak zwana kwestya socyalna, czyli dążenie czwartego stanu do nasycenia pragnień i ideałów jemu właściwych.

Otóż gdy zsumujemy wywody powyższe i ułożymy je w zastowaniu do Niemiec dzisiejszych, otrzymamy obraz następny. Trzy wyższe stany osiągnęły niejaką wolność i równość; czwarty w podziale dóbr ominięto. Nadeszły wypadki r. 1870. Urok *jedności* zasłonił sobą hasła wolności i równości. Jak się to stało, kto to sprawił i dla czego, w to nie wchodzę tutaj; notuję tylko fakt, że przed okrzykiem *jedność* zamilkły wołania *równości* i *wolności*. Energiczny dyktator przyrzekł i dotrzymał słowa: jedność stała się ciałem; ale inne za to hasła poszły w niepamięć, nawet w poniewierkę; sprawcy *jedności* głosili i głoszą, że *wolność* i *równość* przeszkadzałyby dojściu do *zjednoczenia*, a co za nią idzie, do potęgi, do znaczenia w Europie i do panowania nad światem. Tymczasem, po uspokojeniu się pierwszego pędu ku jedności, wynurzył głowę stan czwarty.

Zagrożeni posiadacze nabytych dawniej praw politycznych skorzystali z dyktatury, wytwarzającej jedność, i wspierają ją z całej siły nie tylko dla utrwalenia i wyzyskania jedności i wynikającej z niej potęgi, ale zarazem i dla zabezpieczenia się od przewagi stanu czwartego.

Jasną tedy jest rzeczą, że stronnictwo rządowe stoi dziś na czele życia politycznego niemieckiego; wraz z rządem dąży ono z największą energią ku dwom celom: ku utrzymaniu i wyzyskaniu jedności, oraz ku zabezpieczeniu się od nawały wydziedziczonych. Zmysł do wolności i równości tymczasem zatracony bez śladu. Ktokolwiek coś posiada, wszyscy „beati tenentes“ stoją murem przy rządzie i za rządem: on im daje zyski, płynące ze zjednoczenia, on ich broni od masy gminu czarnego.

Poruszona od lat kilkunast sprawa religijna, a raczej kościelna, nie ma, zdaniem mojem, doniosłości politycznej; są to zatargi scholastycznej natury, dalszy ciąg średniowiecznego ucierania się zakonów, korporacyi i cechów.

Rozbudzenie tej sprawy, zręczne nastawianie jednego stronnictwa politycznego na drugie, jeszcze zręczniejsze wplatanie Francyi w wojnę z Chinami, podstawienie stołka Anglii w Egipcie, wprzężenie do rydwanu niemieckiego mocarstw sąsiednich—są to wszystko nader zgrabne manewry dyplomacyi berlińskiej: grają one rolę tak zwanych w medycynie „derywansów;“ przeznaczone są do odwrócenia uwagi od ważniejszych na mniej ważne rzeczy. Te zaś ważniejsze rzeczy są, jak powiedziałem, wyzyskanie jedności niemieckiej na jaknajwiększy pożytek rządu i klas rządzących, zabezpieczenie zdobyczy terytoryalnych i własności prywatnej.

Wrażliwość i drażliwość niemiecka w dwóch tedy punktach jest obecnie zajątrzoną: na punkcie całości państwa i nienaruszalności porządku społecznego. Ktokolwiek zagraża granicom cesarstwa lub pojęciu własności, na tego rzucają się zgodnie wszystkie stronnictwa, czy się nazywają katolickiemi czy liberalnemi, postę-

dowcami czy demokratami, lewicą, środkiem, czy prawicą.

Gdy więc taki jest ton zasadniczy obecnych haseł niemieckich, cóż znaczą wszystkie te zjazdy, rozprawy, programy i agitacye polityczne? Nic, albo prawie nic. Wszystko to jest czczą formalnością, udawaniem akcyi politycznej, prawie jej podrzeźnianiem. Czy w tym okręgu wybiorą Schultza, czy Müllera, postępowca czy zacofańca, katolika czy protestanta, w gruncie rzeczy na jedno to wyjdzie. Zasiądzie on w sejmie wprawdzie na prawicy lub na lewicy, będzie coś zlekka rozwijał i uzasadniał, ale gdy przyjdzie do głosowania, gdy z trybuny ministeryalnej zabrzmi rozkazujący głos dyktatora, wszyscy głosować będą na jego nutę. Długo jeszcze sejm państwa będzie „zjazdem landratów,“ jak go dowcipnie nazwano.

Po tem wyjaśnieniu niech mi czytelnik wybaczyć raczy, że wolę w listach moich zazierać w takie sfery, gdzie ludzie szczerze mówią i działają i że zamilczam o całej tej komedyi, którą tu nazywają agitacyą wyborczą, życiem parlamentarnem, stanowieniem praw i polityką wewnętrzną.

Wrzesień jest uprzywilejowanym miesiącem kongresów i zjazdów wszelkiego rodzaju. Nie spisałbym na wołowej skórze, ile ich się odbyło i odbywa w Niemczech i w krajach ościennych. Tu, w najbliższem sąsiedztwie mojem, w Mannheimie, odbył się niedawno liczny i świetny zjazd inżenierów, a obecnie kończy swe posiedzenia w Karlsruhe zjazd tak zwanej „misyi wewnętrznej.“ O pierwszym nic nie potrafiłbym napisać; drugi dość jest zajmujący, a cele *misyi wewnętrznej* i sama nawet nazwa stowarzyszenia tak mało są u nas znane, że muszę mu słów kilka poświęcić.

Znanym jest czytelnikowi z dziejów katolizujący, że tak powiem, kierunek dworu pruskiego przed r. 1848. Protestantyzm, jak to już nieraz powiedziano, nie zaspokaja niektórych od wieków wypielęgnowanych w ludzkości popędów i nałogów. Prawie półtora tysiąca lat nazwyczaiło ludzi do pojęcia życia klasztornego, z tłem kontemplacyjnom, trochę (czasem i bardzo) próżniaczem, z chętką modlenia się za innych, zbawiania bliźnich, mieszania się w ich sprawy serdeczne, religijne, edukacyjne, z pragnieniem pielęgnowania chorych, nawracania zbłąkanych, wykupywania jeńców itd. Społeczeństwo średniowieczne, stojące samopomocą, a raczej samoobroną, pozbawione najprostszych czynników administracyjnych, wyrobiło w ludzkości popęd do dopomagania w pewnych razach, tam gdzie nie sięgały ani kościół, ani władze świeckie.

W czasach nowożytnych państwo wzięło na siebie większą część tych obowiązków; ale dziesiątkami wieków wypielęgnowany nałóg nie zanikł od razu. Budzi się więc od czasu do czasu w społeczeństwie protestanckiem nieprzeparty pociąg do klasztorności średniowiecznej. Występują osobistości takie, jak np. Wichern, Schäfer i inni, co ogłaszają się misyonarzami na własną rękę i dobrowolnie biorą na siebie cząstkę obowiązków, które, według pojęć nowożytnych, ciążą albo na kościele, albo na państwie. Dwie te instytucye zwykle krzywo patrzą na ten rodzaj przywłaszczenia, obawiając się zbytku gorliwości i braku kontroli. Ale Fryderyk Wilhelm nie podzielał tych obaw; owszem, popierał zabiegi tak zwanych misyonarzy, i za jego to panowania powstały tak zwane bractwa protestanckie, sławny „Rauhes Haus“ w Hamburgu, zakłady tak zwanych „Djakones,“ niby mniszek protestanckich itp. A gdy w r. 1848 prąd rewolucyjny nie tylko trony, ale i kościoły zatrwożył, po uspokojeniu zaburzeń objawił się w całych Niemczech protestancki ruch pietystyczno-kościelny: wyrazem jego był zjazd duchownych w Witenberdze r. 1848, który zagarnął w swe ręce i te tak zwane misye. Zjazdy takie odbywają się prawie corocznie; kilka dni temu zgromadził się w Karlsruhe dwudziesty trzeci z kolei.

Myśl i nazwa *misyi wewnętrznej* nie wylęgły się w Niemczech; dawno już Anglia oboje wynalazła, pod tytułem „home mission.“ Uznano, i poniekąd słusznie, że misye zamorskie piękną są rzeczą, ale gdy we własnym kraju mnóstwo jest pijaków, rozpustnic, zaniedbanych dzieci, chorych, kalek, waryatów, słowem *pogan* w pewnem znaczeniu, więc stosowniej jest pomyśleć o opiece nad nieszczęściami własnych współobywateli, niżeli rozczulać się nad nagością lub bezbożnością dziatek kafrów i hotentotów. Wypisano więc na sztandarze „misya wewnętrzna“ i jako program wytknięto sobie następne cele: zakładanie kolonij robotniczych, przytułków, ochronek, stacyi opatrunkowych, dopomaganie pracy kobiet, dobrobytowi rodzin, zakładanie gospód i stowarzyszeń młodzieży chrześciańskiej, ogłaszanie tak zwanych traktatów i traktacików, oddziaływanie przeciw pijaństwu, rozpuście itd., a wszystko to z towarzyszeniem nawracania i oświecania religijnego, a raczej kościelnego, ma się rozumieć protestanckiego.

Skuteczność zabiegów tych po półwiekowej działalności nie jest wielką. Dotychczas misye rozporządzają stowarzyszeniem około 800 tak zwanych „braci“ i około 4,000 t. zw. „sióstr,“ oraz niespełna milionem marek rocznie, co, w porównaniu z tego rodzaju agitacyą w Anglii naprzykład, albo ześrodkami stowarzyszeń i klasztorów katolickich w krajach, gdzie one swobodnie się rozwijają — jest prawie kroplą w morzu. Cały ten ruch misyi wewnętrznej wygląda jak ów wychwalany przez niektórych, a podług mnie robinsonowski i bezsilny przemysł chłopski, gdy się go porówna z produkcyą pierwszej lepszej fabryki, prowadzonej na zasadach racyonalnych i rozporządzającej dużym, nie wyżebranym, ale chętnie złożonym kapitałem. Powiadają też, że w postępowaniu owych „braci i sióstr“ z jednej strony, a w zabiegach o ich łaski „pogan europejskich“ z drugiej dużo jest obłudy, fałszu i komedyi. Bądź co bądź, kilka tysięcy ludzi nasyca się zadowoleniem, że pracuje dla dobra ogółu, a to już bardzo wiele; nie można też wątpić, że to dla dobra ogółu, choć nie wiele, cośkolwiek jednak na tej pracy zyskuje.

Jan Karłowicz.

MOGIŁY.

I.

HANS MAKART.

Geniusz tworzy sławę, a popularność ją roznosi. Makart — malarz, bez swego czarodziejskiego domu, bez słynnych uczt kostiumowych, bez miłosnych przygód i trwonienia olbrzymich sum na kaprysy, przyjemności — byłby zaszedł do grobu spokojnie a wieść o jego zgonie nie obleciałaby świata jak błyskawica. Wielcy ludzie, kochani lub nienawidzeni a znani bodaj z imienia u góry i na dole społeczeństw cywilizowanych, umierają głośno. Makart zaś cieszył się tą popularnością. Dorożkarz wiedeński umiał opowiedzieć o nim jakiś szczegół, a każde pismo pamiętało jakąś anegdotę. Na rachunek jego skłonności do upartego milczenia zmyślano najrozmaitsze farsy. Kto nie zna żartu pewnej artystki wiedeńskiej, która nie mogąc wydobyć z mistrza ani słowa, rzekła: „a teraz, kochany panie Makart, pomówimy o czem innem.“

Biografowie jego twierdzą, że będąc małym chłopcem spadł z wysoka na głowę i że ten wypadek nie przeszedł bez wpływu. Istotnie, Makart zdradzał często pewne zboczenia umysłowe. Raz np. podczas biesiady w jego domu zniknął. Goście długo poszukiwali daremnie, nareszcie spostrzeżono go... na dachu. Pomimo próśb i namów nie chciał zejść. Dopiero podstępem przyjaciele, upewniwszy go, że razem chcą odśpiewać serenadę na dachu, przystawili drabinę i sprowadzili mistrza. W ostatnich latach życia, zapewne skutkiem nadmiernej pracy, przeplatanej wycieńczającemi zdrowie hulankami, Makart zapadł w rozstrój nerwowy, na który spokój domowy w drugiem małżeństwie był lekarstwem spóźnionem.

Urodził on się w r. 1840 w Salzburgu. Opuściwszy wiedeńską Akademię sztuk pięknych, która nie widziała w nim talentu, udał się do szkoły Pilotego w Monachium. Pierwszem jego dziełem, unieważniającem surowy wyrok areopagu wiedeńskiego, była *Siesta*. W szybkim ciągu nastąpiły potem głośniejsze obrazy: *Nowoczesne amorki*, *Zaraza*, *Katarzyna Cornaro*, *Kleopatra*, *Wjazd Karola V*, *Pięć zmysłów*, *Dyana*, *Bachantki*, *Kąpiel*, *Cztery pory dnia* (w Warszawie) itd.

W pojmowaniu sztuki Makart był na wskroś poganinem i czcicielem zmysłowości, jak gdyby się urodził i wychował w atmosferze wieku Peryklesa. Za Napoleona III „Salon“ paryski wstydził się przyjąć do swych komnat jego *Zarazy*. Ale świat zna tylko srom słów, pędzlom i dłutom nagość przebacza. To też Makarta nie wyświecono, jak Zolę; owszem w najarystokratyczniejszych salonach lubowano się jego ciałami, do których nawet podobno wielkie damy dostarczały modelów. Zresztą talent przełamywał skrupuły. Makart nie był klasykiem w rysunku, ale czarodziejem w używaniu barw. Zdawało się, że jego obrazy wydają z siebie jakąś woń upajającą, która odurza zmysły. Urokowi temu poddawali się wszyscy, zarówno ci, którzy szczerze czczą ciało, jak i ci, którzy patrzą na nie przez szpary palców — przy świadkach. Kąpiąc się zaś sam w rozkoszach życia, umiał artysta je malować. Gdyby mu losy włożyły do ręki pióro, byłby ogłoszonym za cynicznego rozpustnika, pędzlem pozyskał miano „wirtuoza barw.“ Dziś grekom wolno jeszcze istnieć w malarstwie i rzeźbie, pod warunkiem, że nie przeniosą na płótno żadnej postaci z naturalistycznego romansu. Milion nagich bogiń i nimf, między któremi były i Ledy z łabędziami, przedstawili malarze, nie zgorszywszy nikogo; jedna leżąca bez okrycia Nana obudziła u nas taki wstręt, że ją pozwolono oglądać tylko mężczyznom i akuszerkom.

H.

II.

EDWARD KLINK.

Nie tak wielki i nie tak głośny, lecz skromny ale użyteczny pracownik wyszedł z szeregów naszej medycyny. Klinkowi zawdzięcza coś nauka, należy mu się przeto szczegółowsze wspomnienie. Po skończeniu warszawskiego uniwersytetu wkrótce odznaczył swe zdolności, jako ordynator szpitala św. Łazarza. W r. 1877 Rada miejska dobroczynności publicznej wysłała go do Petersburga dla zbadania tamtejszych lecznic i dozoru nad prostytucyą. Zebrany przezeń materyał wynagrodził tę podróż sowicie, chociaż projektów niebożczyka nie uwzględniono. Przez lat ośm sprawował Klink obowiązki sekretarza Towarzystwa lekarskiego, a następnie redaktora *Pamiętnika* (do r. 1882). Wielką zasługą zmarłego, w którą włożył dużo pracy osobistej, była szczęśliwie urzeczywistniona myśl wydania dzieła Oczki, głośnego syfilidologa polskiego. Przyjmował też Klink czynny udział w tutejszych i zagranicznych pismach lekarskich. Ko-

ledzy pożegnali go słowami serdecznego żalu i pochwały dla cnót lekarza i człowieka. *P.*

TEATR.

Barkarola, obrazek dramatyczny M. Gawalewicza.

Znowu ta odwieczna trójca: mąż, żona i kochanek. P. Gawalewicz podjął śmiało na nowo kwestyę zawiłą, wyczerpywaną na różne sposoby, wykręconą cudacznie przez cały legion paradoksistów, obgadywaną przez setki od ręki zaimprowizowanych filozofów. Wszyscy jednak współcześni pisarze wobec niewiary małżeńskiej są podobni z przeproszeniem do pastucha, który bodzącej krowy nie umie chwycić za rogi. Ciągły spór natury ludzkiej z etyką, określającą stosunki dwu płci, ciągłe łamanie praw i przepisów obyczajowych jest jednak wymownym dowodem, że prawodawstwo złe, niezastosowane do potrzeb natury ludzkiej, że poświęca nieraz najistotniejsze potrzeby i pragnienia człowiecze dla czczych dogmatycznych formuł. Dzisiejsza instytucya małżeńska w wielu razach jest narzędziem najbezpłodniejszej tortury, zamienia często błąd chwilowy na trwałą klęskę, bywa okajdanieniem nielitosnem samodzielności człowieczej, nieprzynoszącym pożytku ani jednostkom, ani ogółowi. Protest w imię praw natury przeciw moralnej niewoli—oto jedyny żywotny punkt wyjścia dla pisarzy i myślicieli, podejmujących tę kwestyę. Łatwo się domyśleć, że p. Gawalewicz tego protestu nie wypowie. Pisarz to miły, wdzięczny, sympatyczny, czasami przejmująco rzewny, zawsze elegancki, ale chyba nie ma w swem usposobieniu nic... protestującego. W *Barkaroli* wszedł też w przymierze z etyką dzisiejszą — nie zdołał nawet nadkruszyć kajdan nierozwiązalności. Młoda kobieta, pełna fantazyi, trochę nawet demonicznej, spragniona uczucia, kipiąca młodością, jest żoną człowieka najzacniejszego, najszlachetniejszego, ale stworzonego już na dziadka, nie zaś na ojca lub na męża. Gdyby była zwykłą lalką, żądną strojów, błyskotek, lub anemiczną gąską bez gorących porywów i pragnień—mogłaby się zgodzić z życiem, w które rzuciła ją wola płytkiej, samolubnej matki. Z początku było jej nieźle w tem małżeństwie, opartem na szacunku i przyjaźni. Ale młode serce musiało więdnąć przy mężu o trzydzieści lat starszym, cóż więc dziwnego, że... uległo pokusie. Zjawił się ktoś w czarownem mieście lagun, przemówił urokiem artystycznej natury, szczerego i głębokiego uczucia, głosem upojeń młodości, dźwiękami melodyi—no i—porwał za sobą córę wdzięku, rusałkę uroczą. Szarpią się, dręczą, kochają bez nadziei i rozkoszy... aż nareszcie przyszła chwila, w której postanowili skończyć. On podpływa pod okna pałacu z nutą barkaroli na ustach, która mówi: „Pójdź, ach pójdź!..“ Ona gotowa śpieszyć za nim, ale niespodzianie wchodzi mąż. Scena staje się istotnie wzruszającą; autor wyzyskał ją w dosadnych kontrastach, z całym nakładem sceniczności, ale pod koniec złamał dramatyczną siłę. Mąż po chwili rozpaczy i szału staje na wyżynie obowiązku i zostawia żonie wolność. Ona jej nie przyjmuje, bo nie chce łamać jego życia, ale do niego wrócić nie może, gdyż dostaje paroksyzmu skruchy. Chce żyć na uboczu jak pokutnica i czekać dopóki oczyszczona nie powróci w ramiona swego legalnego posiadacza. Kochanek odchodzi z niczem.

Przedewszystkiem nie bardzo wierzymy w skruchę żony, bo doprawdy grzech jej bardzo względny i złagodzony okolicznościami. Miała prawo kochać! Wiemy przecie, że anomalie małżeńskie tego rodzaju zawsze podobnie się kończą, tylko że nie każda kobieta ma odwagę i szczerość przyznać się, że kocha wbrew legalnym paragrafom. Mąż stary, żeniący się z młodą, niedoświadczoną kobietą, jest albo zwykłym kupcem młodego ciała, albo głupcem odurzonym spóźnioną miłością i nie zasługuje na współczucie, zwłaszcza jeżeli użył przewagi majątkowej. I pan Hilary w *Barkaroli*, pomimo swego rozumu i szlachetności, na tym punkcie nie dowiódł głębszego życiowego rozumu, ani tej męskiej siły, która potrafi zmiażdżyć niezdrową namiętność, jak lęgnącą się we wnętrzu ludzkiem szkodliwą gadzinę. On bogaty, ma środki na to, aby kupić dla niej swobodę, bo na dźwięk ten u nas przynajmniej mięknie nawet surowość stróżów nierozwiązalności. Mężczyzną jest a więc stratę żony mógłby przecierpieć, bo męska to rzecz łamać się z cierpieniami. A młodzi? Kochaliby się pobrali i... mieli ładne dzieci. Tymczasem uległość dla zdawkowej etyki zatruje życie wszystkich trojga, odejmie im to, co jest pogodą i umajeniem doli człowieczej.

Po awanturze życie małżonków będzie zawsze zakwaszone, pełne przymusu — ona w dalszym ciągu będzie więdnąć, trawiona jak kwiat bez rosy. A kochanek? Kto wie, może po bankructwie serca uschnie i ożeni się z jaką wioską lub kamienicą... I w dalszym ciągu trwać będzie ta niedola wstrętna, to nienaturalne spaczenie natur, to marnowanie szczęścia przez głupotę i cynizm człowieczy.

Autor tłomaczy swe rozwiązanie tem, że z porzuconych żon tworzy się legion pracownic bezwstydu i zepsucia, więc lepiej zawsze załagodzić sprawę w ciszy domowej i wrócić obmytą owieczkę do owczarni... Podług mnie, lepiej uprawnić godziwą namiętność, aniżeli legalny targ spętany teologiczną fikcyą. Morał więc sztuki nie przekonywa, pokuta kobiety nie wydaje się szczerą, co nie przeszkadza jednak, abyśmy autorowi nie przyznali wdzięku i zręczności, z jaką swój obrazek ukazał w blaskach estetycznej krasy. Z trzech postaci kobieta posiada najoryginalniejsze rysy, odznaczone subtelnie i dobrze podsłuchane z natury. Scena główna wyzyskana z umiejętnością.

Grano sztukę ze szczególnem zamiłowaniem a główną jej rolę panna Wisnowska pojęła i wykonała świetnie. Zrozumiała artystka sprzeczności charakteru, odczuła wewnętrzne szamotanie się kobiety, oprawiła grę swoją w formy misterne i wdzięczne. Królikowski nie miał do stworzenia nowego charakteru, ustrzegł się jednak powtórzeń i rozwinął swe mistrzowstwo w przeprowadzeniu scen wewnętrznego przełomu. Czułeś, choć nie mówił artysta, że dusza człowieka, którego przedstawia, wiła się w męczarniach wewnętrznych, że przerzucała się z osłupienia we wściekłość, że przechodziła cały ten proces, jaki towarzyszy nagłemu uświadomieniu ciosów, niosących ból i rozpacz. Artysta umie wypowiadać takie smutki w sposób do głębi przejmujący i potężnie narzucić się wyobraźni widza. P. Tatarkiewicz niewdzięczną rolę kochanka grał starannie, wytwornie, ale bez wiary w jej prawdę, a jako reżyser wyzyskał zewnętrzną stronę sztuki doskonale. Wprawdzie znać tu było trochę łataniny i dysharmonii w niektórych szczegółach, ale to nie jego wina, bo sam nawet dyabeł z piasku bicza nie ukręci.

S. M.

LIBERUM VETO.

Katechizm obywatelski.—Zbywająca cnota i brakujący grzech.—25-lecie *Tygodnika ilustrowanego*.—Patryarcha i jego rodzina.—Życie jako poemat miarowy. — Zasłużony szacunek.—*Gazeta przemysłowo-rolnicza* i niewyraźność jej mowy.—*Teraźniejszość*.—Skarga p. Szigarina. — Dwa koloryty i dwa oświetlenia w malarstwie zgody. — Rozpoczęte przedsięwzięcia. — Zagadka etyczna.

P. Merunowicz, poseł sejmu lwowskiego, wydał szczególną książeczkę p. t. *Katechizm obywatelski*. Potępia on w nim następujące grzechy: samolubstwo, pychę, swawolę, lenistwo, rozrzutność i lękliwość, a zaleca cnoty: roztropność, pracowitość, oszczędność, stałość, karność, odwagę i ofiarność. Ponieważ winniśmy pozbyć się *sześciu* grzechów, a nabyć *siedem* cnót, więc widocznie p. M. zamilczał o jakimś grzechu i naraził na niesymetryczność swoją katechizmową figurę. Porównawszy obie jej kolumny, widzimy, że one w kilku zestawieniach nie odpowiadają sobie ściśle, oraz że pożądana *roztropność* jest ową zbywającą cnotą, która w przeciwległym szeregu nie ma swojego grzechu. Nie ręcząc za prawdziwość mojego domysłu, przypuszczam, że poseł lwowski chciał zapewne między grzechami postawić na siódmem miejscu *jubileuszomanię*, ale ją opuścił przez wzgląd na—Jenikiego, który miał przed kilku dniami obchodzić 25-lecie swej pracy redaktorskiej w *Tygodniku ilustrowanym*. Dla tego człowieka i dla tego pisma należało zrobić wyjątek—nawet w katechizmie.

Przedstawmy sobie poważnego, uczciwego i światłego patryarchę. W jego rodzinie są najrozmaitsze umysły, charaktery, wyznania, temperamenty. Całą tę wielorodność radby sprowadzić do jednolitości, ale gdy różnice wyskakują ciągle, gdy odmiennych żywiołów w jeden stopić niepodobna, ma on dla nich wyrozumiałość, pobłażliwość lub szacunek.

— Ten oto — powiada — zbyt kropidłem macha i wszędzie dyabłów widzi. Religia dla człowieka potrzebna, skarb to narodowy, ale żeby ją tak wszędzie wtykać, jak niepotrzebne trzy grosze, żeby pod jej firmą zakładać fabrykę do wyrabiania tortur, knebli, kajdan, sztyletów—to nie wypada. Wszystko dobre w miarę.

— Ten — mówi o drugim — napada na księży i strąca z tronu wiarę, osadzając na jej miejsce wiedzę. Nauka jest potęgą, źródłem prawd wielu, ale wszystkich nie zawiera, zasadniczych tajemnic nie odsłania i sama społeczeństw wyżywić nie może. Trzeba z obu tych krynic czerpać, żadnej nie mącić i nie zasypywać, w żadną nie pluć. Wszystko dobre w miarę.

— Tamci wysławiają szlachtę, przypisują jej wielkie posłannictwo, odsądzając od głównej roli lud. Szlachta jest zacna, ma swoje zasługi, szerzy oświatę i umoralnia włościan, ale i kmiotek, podniesiony cywilizacyjnie, dostarczy krajowi poważnej siły. Wielka własność zginąć nie powinna, ale należałoby z niej odłamać nieco dla drobnej. Wszystko dobre w miarę.

— Ci utrzymują, że odrodzenie w ludzie. Ale chłop nasz ciemny, obowiązków względem ogółu nieświadom, złym podszeptom łatwo ulega, nie należy przeto w jego ręce składać losów społeczeństwa i przeceniać jego sił. Wszystko dobre w miarę.

— Wymyślają na żydów. Żywioł to szkodliwy, ale z niego wychodzą osobistości światłe, z najlepszemi chęciami i wysoce pożyteczne. Zresztą, jeżeli ich odepchniemy od siebie, rzucą się w inne objęcia i pomnożą liczbę naszych nieprzyjaciół. Wszystko dobre w miarę.

Od czasu do czasu ktoś wskaże oszusta, obłudnika lub głupca. Patryarcha wtedy mówi: czyż podobna, ażeby taki niegodziwiec lub osioł znajdował się w naszej rodzinie? Pozostawiając innym umiarkowaną swobodę, sam przestrzega tylko czystości języka i zajmuje się zbieraniem rodzinnych pamiątek. Każdy zabytek jest dla niego cenny: stary kościołek, brama, patyna, klucz, popielnica, gwóźdź. W braku rzeczy starych gromadzi nowe, do swojskiego gruntu należące. Umiarkowanie w przeko-

naniach, tolerancya wobec przeciwników, miłość dla rzeczy swojskich — oto główne jego rysy, a ich wiernem odbiciem jego pracownia.

Takim był zawsze Ludwik Jenike i *Tygodnik ilustrowany*. Bez zamiaru przywłaszczenia sobie godności naczelnej, zachowywał on ciągle względem swych czytelników i towarzyszów literackich stosunek patryarchalny. Społeczeństwo przedstawił sobie jako zbiorowisko żywiołów z natury dobrych, ale w tym lub owym kierunku za daleko wybiegających. Namiętna walka, ostre ścieranie się przekonań było dla niego czemś niepożądanem, przykrością rodzinną. Życie, według Jenikiego, to poemat spokojny, którego pojedyncze strofy mogą mieć rozmaite miary, ale żaden jamb lub trochej nie powinien występować z krzywdą spondeja lub daktyla.

Nie powiem, ażeby taki rozjemca, który z konieczności musi się skłaniać ku formom starym i lekceważyć nowe, był dla mnie ideałem publicysty; nie mogę wszakże nie przyznać, że jest to postać wysoce sympatyczna i szczerego szacunku godna. Po 25 latach pracy i przez cały ten okres Jenike doznawał tej sympatyi i tego szacunku ze stron najrozmaitszych. Jego *Tygodnik* umiarkowany, spokojny, po za polem walk stojący lub ostrożnie zbliżający się do zapaśników ze słowami życzliwej perswazyi, w rozwoju przekonań u nas nie przyjął ważnego udziału, ale był ich syntezą, złagodzonem odbiciem—superarbitrem dziennikarstwa. Najzawzięciej katolizujące pisma nasze pozostają w ręku akatolików. I Jenike jest ewangelikiem, ale on umiał zatrzymać się zawsze na tym punkcie, w którym rozbiegają się odnogi wspólnego pnia religijnego, i nie przekraczał tej granicy, jak niektórzy żydzi w naszej prasie, napełniający kolumny swych wydawnictw wodą z Lourdes.

Koleżeńskie grono uczciło Jenikiego... obiadem. Nie jestem zwolennikiem hołdów, składanych żołądkowi, ale w tym wypadku bardziej uderzającem jest skąpe ujawnienie się uczuć współpracowników w jubileuszowym numerze. Oprócz trzech krótkich listów (Kraszewskiego, Jeża i Pawińskiego) nie ma tam nic prawie, co by uroczystość pisma przypominało. A przecież przez *Tygodnik ilustrowany* przesunęli się niemal wszyscy znaczniejsi pisarze. Czyżby zapomnieli o tem lub o nich zapomniano? Czy redakcya nie zamierzała wcale obchodzić swego 25-lecia żadnym aktem tego rodzaju, jak *Kłosy*, owa poświęcona kuczka, dzięki której nie wieją już na nas „wichry od wschodu i zachodu?“

Mamy nową kolebkę w prasie warszawskiej: urodziła się, albo raczej odrodziła *Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza*. Dotąd mówi ona jeszcze tak niewyraźnie, że nie umiem o niej ani nic pewnego powiedzieć, ani postawić żadnej wróżby. Po przeczytaniu prospektu i pierwszego numeru, wiem tyle jedynie, że *Gazeta* będzie wydawana dla rzemieślników, że będzie do nich przemawiała językiem przystępnym, nie poskąpi im życzliwych rad i wskazówek. Ale jak ona się zachowa wobec ich interesów? Czy poprzestanie na zadaniu informacyjnem i oświetlającem, czy też określi swoje stanowisko ekonomiczne? Wnioskując z ludzi nią kierujących i warunków, przypuszczać można, że nowy organ będzie zgodnem dopełnieniem już istniejących, rozszerzeniem ich rubryki... przemysłowo-rzemieślniczej. Ale że najsłabszy kaganek w literaturze cieszyć nas powinien, więc... cieszmy się.

Pragnąłbym szczerze doznać tego samego uczucia i na widok nowonarodzonej u nas *Teraźniejszości*. Jej redaktor p. Szigarin zamieścił w *Kuryerze warszawskim* żałosną odezwę, w której twierdzi, że „cała publicystyka warszawska myli się po części w sądzie swoim“ o pierwszym zeszycie jego pisma. Gdyż: 1) nie jest to zbiór artykułów oryginalnych, lecz tłomaczonych z dawniejszych zasobów autora, który je puścił dla tego, że stanowią jego wyznanie wiary, oraz że miał nadzieję pozyskać dla nich sympatyę. „Gdybym — powiada p. Sz.—artykuły, zamieszczone w pierwszym zeszycie, pisał dla polaków, nadawałbym im *zupełnie inne* oświetlenie, inny koloryt, a są kwestye, których bym nie poruszał. Między innemi np. zupełnie inaczej byłbym się wyrażał o młodzieży polskiej, która — ten zaszczyt oddać jej należy — niepodobna w tem do sąsiadów, nigdy w liberalnych dążeniach swoich nie dała się porwać za daleko, nie przekroczyła granic tego, co stanowi podstawę społeczeństwa i świętość węzłów rodzinnych.“ Bardzo pięknie, ale p. Szigarin artykuły swoje dawniej dla rosyan napisał po rosyjsku, a teraz nie dla polaków po polsku—to dla kogoż one są przeznaczone? Dla anglików lub niemców? Powtóre nie pojmujemy, jak szczery apostoł zgody i wzajemnego paznania się może tym samym sprawom „nadawać zupełnie inne oświetlenie, inny kierunek,“ zwracając się do rosyan, a inny przemawiając do polaków. Przecież obie strony powinny usłyszeć jego „wyznanie wiary“ jednakie. „W wydawnictwach moich, rozpoczętych po przyjeździe do Warszawy—tłomaczy dalej p. Szigarin—nie mam bynajmniej zamiaru przeprowadzać *nietylko ogólnie-ludzkich*, ale *nawet międzynarodowych* wielkich idej. Długoletnie trudy były dostatecznym probierzem moich słabych, niestety! sił; znam już cenę, porę i miejsce wszystkiego. A zresztą trudnoby lata naprawić mogły to, co psuły długie wieki przeszłości dziejowej. Zadanie moje bez porównania skromniejsze. Po prostu przedsięwziąłem dwa wydawnictwa: rosyjskie i polskie, w których będę rozbierał kwestye ekonomiczno-społeczne i oznajmiał bezstronnie, w miarę sił moich, polaków z życiem rosyan, a tych ostatnich z życiem polaków, a nakoniec — i do tego największej wagi przywiązuję — jako mieszkaniec tutejszy i naoczny świadek wszystkiego, co się dzieje, będę powściągał nadmierną a zarazem szkodliwą gorliwość prasy zarówno rosyjskiej, jak i zagranicznej, która, czy to przez nieświadomość, czy przez złą wolę, rozsiewa fałsz i potwarze, wygłasza kłamliwie poglądy i zdania.“ I znowu bardzo pięknie, ale czyż cała ta zamierzona działalność może się obejść bez „wielkich idej ogólnie ludzkich“ i „międzynarodowych?“ P. Szigarina w literaturze znamy oddawna i widzieliśmy wiele śladów jego dobrych chęci, odciśniętych na drodze t. z. pojednania. Wprowadził on do piśmiennictwa rosyjskiego wiele utworów polskich, pisał broszury i artykuły do braterstwa, miłości i sprawiedliwości nawołujące, nie mamy więc powodu rzucać jakiegokolwiek cienia na ostatnią jego próbę. Ale zawsze osłabiał on naszą wiarę w jego przedsięwzięcia dziwną ich niepraktycznością i — że tak powiem — ułomnością planu. Rzucał się za prędko i przerzucał się z jednej ścieżki na drugą zbyt często. Cała jego działalność przedstawia zbiór robót zaczętych i przy zetknięciu się marzenia z rzeczywistością urwanych. Obym był fałszywym prorokiem, ale zdaje mi się, że tak krótko pożyje i ów motyl warszawski.

Czytelnicy dzienników rozwiązują szarady i logogryfy, czytelnicy pism obrazkowych rozwiązują zadania konikowe lub szachowe, niechże i mnie będzie wolno dać moim zagadkę etyczną, wyjętą z *Kuryera*. „Fałszywy przyjaciel“ namówił p. X. do działań, w których podstępnie pozbawił go majątku. Prawo nie dawało poszkodowanemu żadnego ratunku. Gdy pani X. z piękną córką przybyła do „fałszywego przyjaciela“ z prośbą o miłosierdzie, ten oświadczył, że zwróci wszystko, jeżeli panienka zostanie jego żoną. Ofiara zgodziła się. Ale gdy jej małżonek po ślubie zrzekł się u rejenta swego łupu, ona opuściła go natychmiast i wniosła podanie o separacyę. *Wo ist die Katze?* Gdzie tu jest człowiek prawidłowy? Ojciec robi symulacye i traci nieopatrznie majątek, matka poświęca córkę dla pieniędzy, córka oszukuje męża, a mąż oszukuje przyjaciela. *Kuryer warsz.* z tego towarzystwa wybrał sobie pannę, ja — nikogo, a ty czytelniku?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nałogi burzliwej krwi.—Napad na hr. Branickiego. — Wyrok. — Okólnik podolski.—Zwrot gospodarczy. — Deklaracya *G. radomskiej*. — Kilka pytań. — Rady dla ziemian.—Szczere wyznanie *Niwy*.

Na gruncie ukraińskim wyrastają dotąd śród ludu charaktery, w których objawia się złowrogi, mściwy, straszny demonizm. Niedarmo ziemia ta nasiąkała w długim szeregu lat krwią chłopskich buntów, tradycye noża nie wymarły tam jeszcze i od czasu do czasu przez ciemną masę przelatuje jakiś gwałtowny dreszcz, jakiś silny prąd, który ją pobudza do groźnych szemrań lub dzikich wybuchów. W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* powtórzyliśmy rozporządzenie kijowskiego gen. gubernatora, zwrócone przeciwko temu ruchowi, obecnie wypisujemy z kroniki sądowej znamienną jego ilustracyę.

W końcu czerwca r. b. właściciel miasteczka Stawiszcze, Wł. hr. Branicki, wracając powozem z żoną, zatrzymał się przed lasem „Rewuchą,“ a poleciwszy przysłać sobie koniuszego Kolota z wierzchowcem, wysiadł. Zauważył on bowiem dawniej liczne pniaki po skradzionem drzewie; jakoż wkrótce usłyszał tarcie piłą i udał się w jego kierunku. Jakiś człowiek, spostrzegłszy dziedzica, umknął. Br. wyszedł na drogę, gdzie stały konie, ale znowu dobiegło go echo tarcia. Powrócił więc i postępując cicho, zbliżył się do trzech ludzi, piłujących drzewo. Z początku zmieszali się, ale wreszcie jeden z nich krzyknął na towarzyszów:

— Bij! Zabijemy!

— Kogo? Branickiego? — zapytał tenże.

Upomnienie to wszakże nie poskutkowało: najbliżej stojący uderzył Br. dwa razy w głowę dębową pałką. Napadnięty daremnie się bronił kijem, zwłaszcza że natychmiast przyskoczyli dwaj inni chłopi, którzy uderzyli go tak silnie, że zalany krwią upadł na ziemię. Wtedy rozpoczęło się mściwe bicie, i byłby Br. niewątpliwie zginął pod kijami, gdyby Kolot, usłyszawszy krzyk, nie nadbiegł i nie zawołał zdala:

— Idę, idę i kozacy ze mną!

Chłopi uciekli. Kolot znalazł swego pana stojącego wprawdzie, ale poranionego i z podartem ubraniem.

— Uciekajmy—mówił Br.—uciekajmy—jeszcze zabiją!

Ale zaledwie uszli kilka kroków, rzekł:

— Stój, nie widzę drogi, krew zalewa mi oczy.

Wówczas Kolot podał mu rękę i zaprowadził do koni.

Rany okazały się liczne, a niektóre z nich głębokie. Śledztwo dowiodło, że zadali je włościanie: Jan i Stefan Paszczenkowie, oraz Józef Paliszuk. Wszyscy też trzej pociągnięci zostali do odpowiedzialności. Sprawa ta była właśnie rozstrzyganą przez sąd humański, który Jana Paszczenka skazał na cztery, dwu innych na sześć lat ciężkich robót i osiedlenie w Syberyi.

Prokurator w przemówieniu swojem do przysięgłych zaznaczył, że wypadek ten nie należy do rzędu zbrodni zwykłych, lecz zdradza toczący się głęboko w warstwach ludu nurt. Charakterystyczną cechą jest to, że ofiarą napaści stał się człowiek, uważany po części za „chłopomana,“ a nawet za-

rząd jego dóbr wykazał, że hr. Branicki łoży corocznie około 50,000 rs. na utrzymanie różnych instytutów dobroczynnych i polepszenie bytu włościan. Naturalnem więc było pierwsze pytanie, jakie zadał napastnikom, a wiele dającą do myślenia ich odpowiedź.

Smutek dziwnie się splata ze śmiechem na tym świecie. Nieopodal od sceny powyższego dramatu błysnął promień szczerego humoru. *Kuryer codzienny* przytacza okólnik pewnego bogacza i przemysłowca podolskiego do swych oficyalistów. Okólnik ten jest dziwną mieszaniną katonizmu z samowolą. Surowy pan, zaznaczywszy na wstępie, że dostrzegł u swych oficyalistów zbyt częste wypadki życia hulaszczego, oraz, że jeden z nich oskarżał drugiego o złodziejstwo, za co „delator“ został usunięty, a „złodziej“ pozostawiony“—grozi wypędzeniem we 24 godziny każdego, który się dopuści gry w karty lub hulanki. Nie dość tego. W razie nadużycia wraz z winnym „wydaleni będą wszyscy służący w tym samym wydziale.“ Nakazawszy również surowo oszczędność, okólnik tak kończy: „Niniejszy cyrkularz powinien być przez naczelników wydziałowych przeczytany wszystkim bez wyjątku, zajmującym u mnie jakąbądź posadę; w dowód czego pp. naczelnicy wydziałów złożą do rąk administratora listę wszystkich oficyalistów, na której każdy powinien się rozpisać, że cyrkularz z 21 Augusta był mu odczytany. Oprócz tego każden z oficyalistów powinien dać w języku rosyjskim podpiskę, każden z osobna, pisaną na moje imię, że o każdej porze mam prawo go wydalić, a on do mnie żadnej za to pretensyi mieć nie może.“ (Podpisano) *J.... J........*

W jednym z pism humorystycznych czytaliśmy kiedyś następującą rozmowę:

Gość. Straszne pchły u was w hotelu.

Gospodarz. Niepodobna ich proszę pana niczem wytępić.

Gość. Podaj im pan tylko ten rachunek, który mnie przyniosłeś, a z pewnością wszystkie uciekną,

Podobnie i owym cyrkularzem surowy pan nietylko wytępi wszystkie wady w swych oficyalistach, ale i wszystkie robaki, a nawet szczury i myszy w ich mieszkaniach,

Jeżeli wierzyć mamy doniesieniom gazet, ziemianie nasi rozpoczęli już praktycznie, nie czekając kongresu, zwrot w innym kierunku gospodarstwa. Tak np. w kilku majątkach guberni kieleckiej, skutkiem zastoju w handlu zbożowym, wzięto się do uprawy nasienia buraków cukrowych, która przynosi podobno producentom znaczne korzyści. Czy kraj cały zażegna grożące ze strony Ameryki niebezpieczeństwo samą przemianą systematów gospodarczych — wątpimy; że wszakże przemiana taka tu i owdzie uratuje jakąś pozycyę ekonomiczną, nie ulega wątpliwości. Szczęśliwi, którzy, spostrzegłszy płonący dom, wyskoczyli pierwsi z płomieni i zaczęli sobie budować inny z materyałów trwalszych.

Nawet i sławione przez długi czas zbiory tegoroczne, po bliższym obrachunku, okazują rezultat mniej świetny. W Ciechanowskiem —jak donosi korespondent *Wieku*— mórg trzystopretowy wydał żyta 5 korcy, pszenicy 4, owsa 4, grochu 3, jęczmienia 5, buraków cukrowych 50—60, kartofli 50. Wszystko to starczyłoby na „skromne utrzymanie gospodarza“ (dziś ono bywa już rzeczywiście skromnem), ale głód lichwiarzów nie będzie nasycony, „bo — według korespondenta — dla nich mało się urodziło.“ Nie trzeba bluźnić, gdyż ziemia nie doszła jeszcze do tej płodności, ażeby mogła zaspokoić nawet lichwiarzy, zwłaszcza w Ciechanowskiem, gdzie pobierają 150 od sta.

Najgorzej na przełomie rolnym wyjść mogą ziemianie radomscy, jeżeli usłuchają swej nowonarodzonej *Gazety*, która ich pocieszą, że przecie „nie samym chlebem żyje człowiek“ i obiecuje karmić „pleśnią wieków.“ Dosłownie ten organ tak przemawia: „Nie samym chlebem człowiek żyje, a *pierwiastek* jego *idealny* potrzebuje koniecznie *ideałów*, które posłużą do jego *odrodzenia*. Szanujemy to, co miliony ludzi i dziesiątki wieków szanowały i czciły, tem bardziej, gdy przedmiotem tej czci nie zarzucić nie możemy pod względem moralnym. *Pleśń wieków*, poważnie to ruiny okrywająca, nie budzi w nas ironicznego uśmiechu i niechęci; przyznajemy nawet chętnie, iż jesteśmy do tyla *zacofanymi idealistami*, iż tych zwalisk nigdybyśmy nie ośmielili się uważać za materyał do wzniesienia z nich procentującej fabryki. Pomimo tej wiary w poetyczne ideały, jesteśmy gorącymi zwolennikami postępu, lecz postępu racyonalnego, stopniowego, opartego *koniecznie na religii i moralności.*“

Nam się zdaje, że redakcya *Gazety radomskiej*, wysypawszy tę miarkę idealnych komunałów, nie rozumiała właściwie, co one znaczą; słyszała tylko, że spadając w kolumny pisma, wdzięcznie stukają. Bo co zacz ów „pierwiastek idealny“ potrzebujący „ideałów do odrodzenia?“ Jakim sposobem zasadą rozumnej czci dla czegoś może być szacunek „milionów ludzi i dziesiątków wieków,“ których ideały zmieniają się lub ustępują innym? Co ma osiągnąć to nabożeństwo do „pleśni wieków?“ Wjaką zależność redakcya *Gazety* zwiąże wiele kierunków „postępu“ z „religią i moralnością?“ Na te pytania nie odpowie ani zdrowy rozum, ani „pierwiastek idealny.“ Boć chyba dr. Rewoliński przyzna, że kierowanie balonami, telefony, światło elektryczne, deski ze słomy, zbadanie cholery itd. są to postępy, które się nie opierają *koniecznie* ani na religii, ani na moralności. Więc ich *Gazeta radomska* nie uzna? Zapewne, wolnoć Tomku w swoim domku, ale teorya „zacofanych idealistów“ pokryłaby „pleśnią wieków“ swoje czytelnicze koło, gdyby z niego tych grzybków nie ścierało życie. Ziemianin radomski, zagrożony upadkiem, nie będzie dumał na zwaliskach z *Gazetą* w ręku, lecz je przerobi na „procentującą fabrykę.“ Zdarza się to u nas często: postęp idzie swoją drogą, a Mohikanie swoją.

Nad niedolą ziemian płaczą po kolei wszystkie pisma prowincyonalne. Gdyby tylko płakały, ale przytem radzą — i jak radzą! Jedno np. pocieszą, że jedynie projektowany kongres „*mocen* byłby zażegnać klęski“ i najpoważniej woła za drugiem: „cierpliwości!“ Tak mało potrzeba! Do przyszłej wystawy rolniczej zaledwie kilka miesięcy—a może zjazd wcześniej nastąpi! I my głosowaliśmy za nim, ale bynajmniej nie w tem znaczeniu, ażeby on „jedynie był mocen,“ a nawet zdolen zażegnać klęski; wyjaśniłby on tylko, zdaniem naszem, położenie i ułatwił obmyślenie środków zaradczych. Czy wyjaśniłby? Organ szlachecki, *Niwa*, nawet o tem wątpi. „Przedewszystkiem — powiada ona — nasuwa się pytanie: kto w owym kongresie przyjmować ma udział? *Znamy się wzajem*, więc nie potrzebujemy prawić sobie komplimentów. Otóż niezawodnie, większość ziemian naszych, z młodych lat na nim osiadłszy i umiłowawszy zagon ojczysty, orze go wybornie... Wyznajemy jednak otwarcie, że ludzi o szerszym na rzeczy poglądzie, ludzi, którzy nie traktują pracy około roli mechanicznie i, idąc z biegiem nauki, zadają sobie często pytanie: „dlaczego“—mamy jeszcze *niewielu*. Przypuściwszy nawet, że wielu znajdzie się takich, którzy mogliby niejedną dla ogółu pożyteczną myśl podać, to i ci, odwykłszy od systematycznej umysłowej pracy i występowania publicznie, od obrad w kongresie albo się usuną, albo przyjmą udział w nich bardzo mały.“

A więc jedni są ograniczeni, a drudzy obojętni? A to piękne świadectwo dla „czoła narodu“ i „naturalnych jego przedstawicieli!“ Doprawdy czujemy chęć stanąć w obronie naszych ziemian, ale nam *Niwa* usta zamyka uwagą: „znamy się wzajem.“

A. C.

Kijów. Gazety ogłosiły osnowę przemówień podczas jubileuszowej uroczystości uniwersytetu. Główną uwagę zwraca mowa rektora Renenkampfa, który zaznaczył przedewszystkiem, że uniwersytet kijowski został założony w tym celu, ażeby siłą nauki europejskiej zbliżyć i pojednać różnorodność miejscowych żywiołów narodowościowych, zgładzić pewne historyczne nieporozumienia i przesądy, a w ten sposób wzmocnić wiekowy węzeł, łączący kraj południowo-zachodni z wielkim obszarem rosyjskim. Od samego założenia uniwersytetu kijowskiego naukowa jego misya była zatem zlączona z misyą polityczną. Oba te zadania uniwersytet spełnił pomyślnie.

Ktoś w *St. Petersb. Wiedomostiach*, zastanawiając się nad tutejszymi rozruchami studenckimi, pisze: „Pamiętam chwile wielce naprężonej walki narodowościowej w Kijowie, nadzwyczajne usiłowania tamecznego uniwersytetu, dążące do „pojednania.“ Pamiętam, jak tłumy studentów wsłuchiwały się w prelekcye profesora slawisty, opowiadającego o „wierzbach ukraińskich, opłakujących utratę niezawisłości ukraińskiej, lub deklamującego własny przekład *Nieboskiej komedyi* Krasińskiego. Pamiętam i innego profesora, pragnącego pogodzić wrogie sobie narodowości na gruncie racyonalizmu historycznego. „Pojednanie“ skończyło się krwawem fiasco, i bardzo niewielu „pojednanych“ wyszło cało z zawieruchy 1863 r. Potem przestano mówić o „pojednaniu“ na bardzo długo, i były to rzec można najspokojniejsze i najlepsze lata w Kijowie i całym kraju południowo-zachodnim. „Pojednanie“ przyjdzie samo z siebie, a przyjdzie wtedy, kiedy i polak i żyd i „chochłoman“ przekonają się, że Rosya jest dla rosyan. Na to nie potrzeba umizgów tylko twardości i uszanowania dla siebie ze strony rosyjskich „dziejatelów.“

Z powodu tychże rozruchów dzienniki opowiadają pouczający wypadek z dziejów uniwersytetu odeskiego: „Były kurator okręgu naukowego kijowskiego, generał-lejtnant Antonowicz, pewnego razu uśmierzył uczącą się młodzież następującem przemówieniem:

„Panowie studenci bardzo mi żal, że teraz obchodzą się z wami zbyt uprzejmie; gdyby was trzymano w takich żelaznych rękach, w jakich my byliśmy trzymani, z pewnością bylibyście przyzwoitsi. Wszak widzicie, że jestem generałem. Ale czy wiecie, czemu ten zaszczyt zawdzięczam? Żelaznej surowości. Będąc studentem uniwersytetu moskiewskiego, za awanturę zostałem bez żadnych sądów zesłany jako prosty żołnierz na Kaukaz. Nosiłem tornister przez lat dwanaście. Ach, jakżebyście się uspokoili i wy moi panowie, gdybyście mieli w perspektywie taki sam tornister na lat dwanaście!...“

— Przybył urzędnik osobny dla zbadania sprawy rozruchów studenckich.

Saratów. Oberwała się część góry Sokoła. Pomiędzy Wołgą a urwiskiem góry utworzyły się olbrzymie szczeliny. Niektóre miejscowości opadły w głębie, inne wzniosły się nad poziom. Miejscowość ta była bardzo gęsto zaludniona i zabudowana fabrykami. Wiele domów i zakładów runęło, wiele zostało przewróconych i mniej lub więcej uszkodzonych.

Kowno. Otwarta tu 27 z. m. wystawa koni ściągnęła nieliczną gromadkę okazów z bliższej i dalszej okolicy. Główna nagroda rs. 100 i medal srebrny dostała się suwalczaninowi. Wszystko jednak szłoby pięknie, gdyby nie rozdawanie nagród, na którem u nas zwykle kończy się zgoda.

Tomaszów rawski. Odbyło się już wstępne posiedzenie członków nowo-zatwierdzonej sekcyi Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Prezesem obrano dyrektora filii Banku państwa Jureniewa, wiceprezesem D. Halperna.

Kock przy końcu z. m. spalił się znowu. Wartość ubezpieczenia zgorzałych budynków wynosi 14,000 rs. straty w ruchomościach 25,000.

Lublin. Kasa przemysłowców tutejszych została zatwierdzoną. Jest ona uorganizowaną na wzór warszawskiej, z tym tylko wyjątkiem, że wkład wynosi 25 rs., które uczestnicy mogą spłacać ratami (najmniej po kop. 15). Wpisowe rs. 1.

Kraśnik. We wsi Lute niewyśledzeni złoczyńcy zamordowali właściciela rozkolonizowanych dóbr Ferenzewicza. Żona i syn ocaleli — pieniądze i kosztowności zrabowano.

Wilno. D. 2 b. m. przy parkanie szkoły junkierskiej znaleziono nieżywym b. naczelnika wydziału tutejszej Izby skarbowej a nieopodal martwą jego pokojówkę. Oba ciała nie przedstawiały śladów ani zbrodni, ani rabunku.

Piotrków. Kilkudziesięciu ziemian okolicznych zawiązało Spółkę rejentalną, której celem jest ustanowienie agentów własnych na głównych punktach zbytu gub. piotrkowskiej i wyzyskanie korzystniejszych warunków dla ubezpieczeń rolnych.

Siedlce. P. Romanskij, pomocnik gospodarzy klasowych — jak donosi *Dniew. Warsz.*— oskarżył trzech uczniów: Kornacewicza, Dobka i Gonowskiego o zamach na jego życie. Śledztwo wykazało, że ów zamach był tylko nieszkodliwem rzuceniem kilku kamieni w okna. To też Sąd okręgowy skargę oddalił i odesłał do sędziego pokoju, który skazał Kornacewicza na 25 rs. kary a innych uwolnił.

Petersburg. D. 6 b. m. podczas nabożeństwa w kościele katolickim św. Katarzyny ksiądz niemiecki, Wollinger, został czynnie znieważonym. Wyszedł on z konfesyonału i udał się do zakrystyi. Wtedy przez tłum docisnął się do niego człowiek nieznajomy i z tyłu uderzył kilkakrotnie laską. Powstało ogólne zamieszanie. Mszę przerwano. Tłum otoczył winnego. Sprowadzono policyę. Ujęty oświadczył, że nazywa się Moeller i że działał z rozmysłem, pragnąc zemścić się na księdzu Wolingerze, ponieważ wskutek jego przyczynienia się usuniętym został z posady nauczyciela w szkole katolickiej.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 9 października.

Echa zjazdu skierniewickiego. — Mowa cesarza austryackiego. — Nowe domysły. — Scholastyka polityczna. — Pochód francuzów w Chinach. — Kolonie niemieckie. — Kandydaci poznańscy.

Zjazd skierniewicki był zbyt ważnym, a przynajmniej zbyt głośnym wypadkiem, ażeby prasa europejska mogła się z nim rozstać tak prędko i zaprzestała go zdobywać... domysłami. Rzeczywiście dotąd obiegają tylko domysły, nieraz najryzykowniejsze. Bo gdy dotąd świat wierzył, a nawet dzienniki półurzędowe utwierdziły go w tem mniemaniu, że przedmiotem obrad skierniewickich było podjęcie wspólnego działania przeciw anarchistom, jedna z gazet rosyjskich utrzymuje, że i to nie prawda. Tym sposobem cały gwar w tej sprawie schodzi do tego, że jeden dziennik wylęgnie kaczkę a drugi ją zabija.

Cesarz Franciszek Józef, przemawiając w sejmie węgierskim, oświadczył, że stosunki monarchii austryackiej z Niemcami są „możliwie bliskie," a z „innemi" mocarstwami przyjacielskie. Otóż powstała już cała biblioteka z obszernych uwag nad tymi dwoma wyrazami: „możliwie" i „inne." Prasa bowiem europejska wnioskuje z nich: a więc mamy tylko dwoiste przymierze Niemiec z Austryą, które jest związkiem „możliwie" najściślejszym, Rosya zaś stoi od tego sojuszu dalej, narówni z „innemi" państwami. Ponieważ łatwo zgubić rozum w tej scholastyce politycznej, ważącej słowa na miligramy i ostatecznie rozglądającej się z zawiązanemi oczami, nie zbogacamy jej nowym przyczynkiem pomysłowości własnej. Bo dla nas ten fakt pozostaje niezawodnym, że czy tam Austrya przyciska Niemcy „możliwie" blisko a Rosyi tylko zdaleka rękę podaje, w każdym razie wszystkie trzy mocarstwa znajdują się w porozumieniu i warunkują niem bieg wypadków najbliższych. Dla dyplomacyi te odcienie stosunków mogą mieć swoją wagę, ale dla obserwatorów nikną w barwie głównej, odbijającej się obecnie na sztandarze polityki europejskiej.

Nie długo żyła wieść, zapowiadająca spotkanie ks. Bismarka z Gladstonem. Rzeczywiście byłoby ono już czemś przechodzącem granice prawdopodobieństwa. Jeżeli ktoś złośliwie małżeństwo nazwał zmową dwojga na trzeciego, to wszelki ślub polityczny z większą jeszcze słusznością zasługuje na tę definicyę. Ponieważ zaś stosunki Niemiec z Francyą mają być wyborne, z Włochami są dawniej zaciśnięte, więc czegóżby ostatecznie chciał ks. Bismark, gdyby do braterskiego koła dopuścił Anglię? Przecież chyba nie zawiązywałby ligi przeciw — Szwajcaryi lub ks. Monaco.

Francuzi ujęli znowu Chiny za warkocz silniej. Jen. Courbet zdobył fort na wyspie Formozie i grozi, że na spacer do Pekinu jest zupełnie przygotowany. Ferry zatem ma wiązkę dobrych nowin do przedstawienia Izbom i uśmierzenia krzyku nieprzejednanych. Chociaż się z tem kryje, ciągnie on niewątpliwie korzyść z przyjaźni Bismarka, który swą potężną protekcyą ułatwia tryumfy francuskiego oręża w Chinach. Przebąkują nawet o przymierzu francusko-niemieckiem.

Natomiast Anglia dotkliwie czuje słuszność tej nowej prawdy politycznej, że dziś w Europie *sine Germania nulla salus.* Zawieszenie amortyzacyi długu egipskiego ciągle jest raną otwartą, możliwość zebrania się konsylium nie ustaje, Gordon siedzi w ulu egipskim, polecenia rządu angielskiego zdradzają niepewność i ulegają ciągłym zmianom.

Kanclerz niemiecki odbył naradę z przedstawicielami firm kolonialnych w przedmiocie wybrzeża Afryki zachodniej. Doradcy oświadczyli, że co do Angry-Pequeny wystarczy protektorat państwa, ale Kamerun, którego stosunki są bardziej powikłane, wymaga osobnej administracyi kolonialnej i ściślejszego przyłączenia.

W całych Niemczech wre obecnie ruch przedwyborczy. W Poznańskiem zdołano wreszcie uspokoić wrzawę i usunąć partyę *Gońca.* Dotąd wybrani kandydaci: J. Chełmiński, Ł. Mycielski, L. Graeve, T. Magdziński, ks. Jażdżewski, F. Radziwiłł, S. Cegielski, J. Kościelski, K. Chłapowski, S. Chłapowski, L. Skórzewski, S. Kwilecki, ks. Gajowiecki, ks. Röhr, A. Koczorowski. Znany u nas poeta Józef Kościelski występuje jako kandydat do sejmu po raz pierwszy, występuje wszakże z niezwykłem świadectwem — z głosami ludu.

Londyn. Policya wytropiła nowe spiski dynamitowe w Ameryce. Skutkiem tego podróżni przybywający do Folbestonu i Dowru są ściśle rewidowani.

Berlin. Wyszła tu broszura radcy rządowego Hahna *Das sociale Königsthum*, w której autor dowodzi, że cesarz Wilhelm, przejąwszy ideę Lassalle'a, zrobił dla ludu więcej, niż jakakolwiek konstytucya republikańska, lub agitacya demokratyczna.

Kraków. Prezydent miasta Weigel złożył swą godność.

Lion. Dnia 6 b. m. podrzucono pod koszary żandarmów bombę, która zerwała jedną ścianę gmachu.

Kair. Lord Northbrook proponuje znieść armię egipską i zastąpić ją przez straż policyjną.

Orsowa. Odkryto spisek na życie króla Milana.

Odessa. Przestępca polityczny Dejcz skazany został przez sąd wojenny na lat 13 do kopalń, za oblanie kwasem siarczanym szlachcica Gronowicza.

Petersburg. Jenerał-gubernator Hurko mianowany został członkiem Rady państwa z pozostawieniem przy godnościach dotychczasowych.

GŁOSY PISM.

B. Prus w *Kur. warsz.* tłomaczy z humorem, dlaczego wszystkie plagi świata przypisywane są obecnie polakom:

„W pewnej okolicy lesistej, dom obok domu, mieszkali dwaj szlachcice. Jeden był namiętnym myśliwcem i miał ładną żonę, drugi namiętnie lubił płeć piękną, ale miał—tylko psiarnię. Ile więc razy stęskniony właściciel psiarni chciał sąsiada wywabić z domu—i zająć jego stanowisko przy żonie, tyle razy swoim wytresowanym kundlom pokazywał zajęczą skórkę, a one—wyły jak na wilka.

Wówczas namiętny myśliwiec chwytał flintę i wybiegał na cały dzień do lasu a sąsiad tymczasem składał wizytę pani...

Też same mniej więcej stosunki istnieją w Wiedniu. P. Taaffe i autonomiści posiadają władzę, czyli żonę, a p. Herbst i centraliści tęsknią do władzy, a mają tylko—*Neue Freie Presse* i parę pokrewnych jej dzienników. Ile razy więc chcą partyę rządową wyciągnąć z ugodowego folwarku, tyle razy pokazują odnośnym dziennikom zajęczą skórę i—huzia!... Świadomi jednak mówią, że partya rządząca w Wiedniu już zrozumiała ten manewr, więc nie zrywa się do flinty, nie awanturuje się po lasach, ale siedzi w domu i co najwyżej — wygląda oknem.

Takie mniej więcej jest źródło „polskich strachów" w dziennikarstwie. Czy i gdzieindziej są pisma naśladujące wiedeńskich kolegów, o to nie chodzi. Dla nas bowiem najsmutniejszą jest okoliczność, że nam w tych alarmach dostał się urząd—zajęczej skórki..."

W dalszym wesołym wywodzie swej „Kroniki," zgodnie z wyrażonem przez nas dawniej zapatrywaniem, odpowiada na pytanie: czemu nas nie lubią?

„Zmianę tę łatwo zrozumieć, gdy przypomnimy sobie, że w dawnych czasach, każda idea ożywiająca Europę, miała u nas przedstawicieli. Zachód kipiał spekulacyami filozoficznemi, estetycznemi, poezyą romantyczną i my — też mieliśmy filozofów, estetyków i poetów, jeszcze jakich! .. Dzisiaj zaś Europa poszła naprzód, żyje innemi kwestyami, albo temi samemi w nowych formach, lecz my utknęliśmy na miejscu, a nawet zatraciliśmy związek z cywilizacyjnym ruchem...

Dlatego zrobiono z nas stracha na wróble i będziemy nim dopóty, dopóki nie przebiegniemy drogi dzielącej nas od umysłowych postępów świata, dopóki nie wydamy z siebie takich techników, badaczów natury, ekonomistów i filozofów, jakich mieliśmy poetów."

Natomiast trudno zgodzić się z Prusem na optymizm względem salonów francuskich, w których mają się toczyć rozprawy „o wielkich kwestyach naukowych i społecznych," podczas gdy u nas snuje się z ust paplanina o fatałaszkach.

Dr. Raczki, prezes Akademii zagrzebskiej, przyjęty w Warszawie cicho, powitany w Petersburgu głośno, stał się mimowolnym powodem polemiki w prasie rosyjskiej. Mianowicie śród drobnych rybek, pluskających ogonkami około gościa, znalazła się tam i jedna duża — Spasowicz, który w swem przemówieniu rzucił kilka uwag politycznych. Wspomniawszy o jedności słowiańskiej, rzekł:

„Za ideał jednoczenia się słowian na uroczystościach przyjacielskich uważałbym następujący

porządek: każdy mówi swoim rodzinnym językiem, a wszyscy słuchają go i rozumieją.“

„Nie nowa to rzecz, że stoimy przy swojem, lecz nowem jest to, że kiedy my, czyniąc, cośmy czynić powinni, postępujemy otwarcie, jawnie, bez wykrętów, wobec rosyjskich współbraci, pomiędzy tymi rosyanami znajdują się ludzie, a przytem lepsi i znakomitsi, którzy, widząc usiłowania nasze, gotowi są powiedzieć nam: „Szczęść Boże!“ Czterdzieści lat mieszkam już wśród rosyan i twierdzę, że dotychczas tego nie było.“

Otóż *Dniewnik warsz*., przytoczywszy te słowa, powiada:

„Lecz cóż mianowicie „powinni czynić“ polacy i co czynią?

Są polacy, wierzący w *Gazetę narodową*, posyłający jej korespondencye z Warszawy, lecz są także, jak sądzimy, miliony polaków, oddanych Cesarzowi rosyjskiemu i wiernych mu niemniej od rodowitych rosyan. Jeszcze mniej rozumiemy wyrażenie p. Spasowicza, że jakoby „lepsi i znakomitsi“ z pośród narodu rosyjskiego sympatyzują z usiłowaniami polaków i błogosławią je. Znowuż zaznaczamy, że polak polakowi nierówny. Przytem wielka także zachodzi różnica co do polaków względnie do kraju Zachodniego i Kr. Polskiego.

Polacy Królestwa poza linią „rosyjskiego zabużja,“ to jednostka etnograficzna, której język, zwyczaje i historycznie sformowane ustawy powinny być do pewnego stopnia szanowane. Nie można nie uczyć języka polskiego w szkołach czysto polskich przywiślańskiego kraju, lecz nie ma przyczyny dopuszczać tej nauki w szkołach Zachodniego kraju, tak samo, jak z drugiej strony nie mamy najmniejszego powodu troszczyć się o ustanowienie jakiejkolwiek solidarności z Krakowem i sympatyzowania z nią.“

W końcu *Dniewnik* nadmienia, że nie pojmuje, o jakiej to „znakomitszej“ części społeczeństwa rosyjskiego mówi p. Spasowicz, która ma niby sympatyzować z dążnościami jego i jego kompanii (*Wiestnika Jewr.*). W tymże duchu odezwały się inne pisma rosyjskie a zwłaszcza *Nov. Wremia*.

Nowosti, pobudzone wystąpieniami innych gazet rosyjskich, wypowiedziały również swoje zdanie o kwestyi polskiej z powodu Monarszych odwiedzin.

„Jak będzie postępowała Austrya z galicyjskimi polakami, dla interesów rosyjskich jest kwestyą drugorzędną. Należy przypuszczać, że do „ukrócenia“ polaków galicyjskich dostatecznem byłoby przyznanie słusznych praw tej rosyjskiej ludności Galicyi, która miała wiele powodów do niezadowolenia z istniejącego porządku rzeczy i ze stosunku do niej polaków. Ale stosując też samą miarę do naszej ludności polskiej, stawiając się na punkcie widzenia wyłącznie rosyjskich potrzeb państwowych, trzeba będzie przyznać, że wobec symptomatów, jakie ujawniły się podczas pobytu Najjaśniejszych Państwa w Kr. Polskiem, najwłaściwiej byłoby pomyśleć, jeśli nie o ukróceniu, to przynajmniej o większem umiarkowaniu i bezstronności w sądach i stosunkach do naszych współobywateli polaków.

Jakkolwiekby to może być niemiłem politycznym i narodowym starowiercom, korzyść Rosyi wymaga uznania i zachęty dla dobrze ku nam usposobionej części narodu polskiego. Rzeczywiste interesy państwa i idealne dążności rosyjskiego narodu tkwią w ludzkim i godnym cywilizacyi aforyzmie „„żyć i dać żyć innym.““

Dniewnik Warsz., odpierając ten artykuł, pyta: gdzie ta część polskiego społeczeństwa, która — według *Nowosti* — „myśli o przyszłości a nie myśli o przyszłości“ i jest „dobrze usposobiona ku nam“ (rosyanom) — ujawnia swoje uczucia i poglądy? Jeśli istnieje, ulega terroryzmowi opinii i prasy.

„Stąd wynika jasno — kończy *Dniewnik* — że my wcale nie pragniemy — jak mniemają *Nowosti* — „ukrócenia“ tutejszej prasy polskiej, przeciwnie, chcielibyśmy, żeby ona zdjęła ze swych ust pieczęć milczenia. Natomiast rzeczywiście pragnęlibyśmy, ażeby „ukrócono“ prasę galicyjską, gdyż ona szkodzi samym polakom i kompromituje godność dziennikarstwa polityczego.“

Nowosti piszą:

„W angielskich, niemieckich i innych zagranicznych gazetach ukazały się wiadomości o rozmaitych, jakoby mających nastąpić zmianach w Królestwie Polskiem. Między innemi jest tam mowa o wprowadzeniu instytucyj ziemskich, a rzeczone pisma dodają, że z tego powodu ma się odbyć narada dla opracowania podstaw tej reformy. Pogłoski i wieści tego rodzaju są jawnym dowodem, że niedawne wypadki w Królestwie Polskiem i ogólny charakter oświadczeń i stosunków miejscowej ludności, jakie wywołał ostatni pobyt Monarszy w Królestwie, wywarły takie same wrażenie za granicą, jak i u nas w bezstronnej części społeczeństwa rosyjskiego, szczerze pragnącej raz położyć koniec nieprzyjaźni między rozmaitemi częściami ludności Rosyi.“

Wspominając dalej o niesumiennej grze gazet zagranicznych, spekulujących na rozdmuchiwaniu waśni w łonie państwa rosyjskiego, *Nowosti* twierdzą, że otwarci nieprzyjaciele są tu lepsi od obłudnych przyjaciół. Tradycya 1863 r. — według dziennika petersburskiego — już wygasła, warunki się zmieniły, a reformy (np. sądowa) ubezpieczyły kraj przeciw nieopatrznym porywom i pomogły do zbliżenia się żywiołów.

„Jedno więc z dwojga—wnioskują *Nowosti*— albo wszystkie te ulepszenia były błędem, z którego należy się jaknajprędzej wycofać, albo też spełniły one swoje zadanie i usprawiedliwiły pokładane w nich nadzieje. Fakty, o ile się one wyjaśniły w niedawnych opisach, nadsyłanych nam z Królestwa Polskiego, dają prawo przypuszczać, że w tej polityce nie było błędu. Za tem należy ją dalej prowadzić, należy rozciągnąć na Królestwo Polskie instytucye i prawa uważane za powszechne dobro całej Rosyi.“

Ruś poświęciła obszerny artykuł zjazdowi skierniewickiemu. P. Aksakow zastanawia się naprzód nad t. z. *status quo* i powiada:

„Jeżeli ktoś przestąpił płot sąsiedzki i stanął jedną nogą w ogrodzie sąsiada, jakże mu tutaj określić *status quo*? *Status quo* polegałoby właściwie na staniu okrakiem, co nie jest wygodne, a cofnięcie nogi—no, toż już będzie nadwyrężeniem *status quo*; postawienie znowu drugiej nogi na gruncie sąsiedzkim to już jawne i oczywiste naruszenie *status quo*. Ale u dyplomatów terminy są dziwnie rozprężliwe i zapewne będziemy patrzyli na szczególne z tem *status quo* ewolucye.“

Rozprawiwszy się z tem prawdopodobieństwem, że Austrya przyłączy ostatecznie Bośnię i Hercogowinę i otrzyma za to od dyplomacyi rosyjskiej powinszowanie, *Ruś* tak ciągnie dalej:

„Ale gdy dyplomacya nasza drzemać będzie na *status quo*, niby na puszystej pierzynie, sąsiedzi nasi zdołają zeń uczynić nowy oszczep na słowian i na nas. Nie wiemy, czy „porozumienie“ dotykało kwestyi podziału półwyspu bałkańskiego na dwie tak zwane „sfery interesów“—rosyjskich we wschodniej połowie i austryjackich w zachodniej. Dla honoru imienia rosyjskiego chcemy przypuszczać, że nie. Taki podział zresztą bez grzmotów, to jest podział teoretyczny, byłby ledwie możebny i przytem dałby się uczuć w sposób dotkliwy interesom słowiańskim i naszym. A oto dla czego:

Dla tego, że skojarzenie polityki biernej z polityką czynną, na podstawie *status quo*, nie może być dla pierwszej korzystnem. Zniewala ją ono do uprzejmej nieruchomości w imię *status quo*, niczem nie krępując, owszem uprawniając żywą i twórczą działalność drugiej, choćby nawet w ścisłych granicach samego *status quo*, nie mówiąc już o jego rozprężliwości. Nie naruszając *status quo*, Austrya opasze półwysep bałkański siecią kolei żelaznych, otoczy Czarnogórze szeregiem fortec, zarzuci jarzmo ekonomiczne na bulgarów i serbów, i zasypie Bulgaryę, Serbię i Macedonię misyami jezuickiemi, zakładami wychowawczymi, nakoniec niemieckimi kolonistami. A my, a nasz *status quo?*...“

Nowoje Wremia, z powodu zamianowania gen. Kachanowa jeneralnym gubernatorem wileńskim, takie wypowiada nadzieje:

„Generał Kachanow, to jeden z rzadkich u nas znawców kraju polskiego, oraz polsko-katolickich manewrów, tendencyj i środków w walce. Przeszło 10 lat zarządzał gubernią piotrkowską, jedyną w kraju nadwiślańskim, skąd przez cały czas jego rządów nie dała się słyszeć ani jedna skarga ani jednego rosyanina na przejawy „sprawy polskiej.“ Przeniesiony do Wilna, Kachanow głośno i otwarcie nazwał siebie działaczem rosyjskim, i bez wahania uznał za program, którego się trzymać należy — politykę niezachwianie rosyjską w całym kraju, stanowiącym przedmiot sporu. Stanowisko pełniącego obowiązki generał-gubernatora nie dawało wszakże generałowi Kachanowowi możności i prawa na wprowadzanie kierunku rosyjskiego w kraju powierzonym jego pieczy. Praw, rozkazów i okólników, przewidujących polskie intrygi i knowania, oraz zabezpieczających narodowość rosyjską w kraju północno-zachodnim bardzo dużo. Cała bieda na tem polega, że polska zręczność, a rosyjski brak charakteru obróciły w niwecz większą część tych rozporządzeń, lub sprowadziły rezultaty dyametralnie przeciwne. Być więc może, że kraj nie będzie potrzebował nowych reform, a jako zadanie nowego wielkorządcy wystąpi konieczność skierowania kwestyi na drogę właściwą, uznającą kraj północno-zachodni za kraj z dawien dawna rosyjski i litewski, ale w żadnym razie nie polski. Do takiego postawienia kwestyi potrzeba oczyścić kraj od tej nielicznej sfery urzędników, którzy w skutek byłej władzy miejscowej zbytecznie nakłaniali się na stronę Polski i zapomnieli o obowiązkach ciążących na urzędniku rosyjskim. Wezwanie na ich miejsce nowych ludzi powinno nastąpić z wielką ostrożnością, z uwzględnieniem, a raczej wymaganiem najwyższego cenzu *zasług* i wychowania, gdyż nigdzie tak się nie ujawniają, nigdzie tak się nie krytykują braki urzędników rosyjskich, jak właśnie w kraju północno-zachodnim.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wydział do spraw finansowych Królestwa Polskiego, który zarządzał dobrami skarbowemi, będzie zniesiony 13 stycznia r. p.

Ministeryum komunikacyi obraduje podobno nad kosztorysami robót, które mają być podjęte dla uspławienia Wisły, Dniepru, Wołgi i Donu.

Komisya do uwag nad ustawą stemplową, przedstawiającą w wykonaniu u nas liczne trudności, ma się składać z członków i sekretarzy wydziałów hypotecznych oraz rejentów Zawadzkiego, Jełowieckiego i Sobierańskiego pod prezydencyą wiceprezesa sądu T. Wałęckiego.

Procedura wojenna w sprawach o przestępstwa przeciw karności wyłączyła od obron adwokatów przysięgłych i dozwoliła stawać tylko oficerom.

Prezes sądu okręgowego warsz. mianowany został towarzyszem oberprokuratora senatu, na jego miejsce zaś—Iwanów, prezes sądu okr. kiszyniewskiego.

Szkoły. Tutejszy zbór ewangelicko-augsburski utrzymywał w roku zeszłym sześć szkół, do których uczęszczało 470 uczniów i 359 uczennic, czyli ogółem 829 dzieci. W szkołach nauczało dziesięciu nauczycieli i nauczycielek.

Dr. Ochorowicz, napomniany ogólnikowo przez *Przegląd lekarski*, bronił się znowu w *Kuryerze warsz.*, zarzucając przeciwnikom, że nic nie umieją. Na litość, niechże który z lekarzy stanie w obronie honoru swych towarzyszów, bo doprawdy dr. Ochorowicz zaczyna... mieć racyę, urągając, że nikt nie śmie rozprawić się z nim szczegółowo i naukowo.

Procesy o honoraryum lekarskie mnożą się w naszych sądach szybko. Taksy! Tych zaś, którzy przegrywają sprawy, nie chcąc doktorowi płacić rs. 2 za wi-

zytę nocną, pocieszamy, że w Anglii Spencer Wallace bierze za każdą operacyę około 10,000 rs., B. Brodin zarabia rocznie 200,000 rs., Radcliffe 125,000, a Gull za jeden dzień otrzymał 15,000. Naturalnie nie życzymy dla wszystkich takiej taksy!

Roboty kanalizacyjne są prowadzone energiczniej, niż w roku zeszłym. Tak słychać!

Zwierzyniec. Spółka ogrodu zoologicznego Warszawy odbyła posiedzenie i przekonała się, że dochód z rozsprzedaży biletów dał jej 25% po opłaceniu kosztów, gdyż cały kapitał włożony wynosi zaledwie 14,000 rs. Postanowiono dalej wzbogacać zwierzyniec i — rozprzedawać akcye.

Opera. Wznowiono *Napój miłosny* Penchielego ze szczęśliwą obsadą. Odznaczają się głównie pp. Myszuga i Klamrzyńska.

— Debiutuje w lekkich rolach operetkowych śpiewaczka prowincyonalna p. Filebornowa, która chce i do pewnego stopnia może zastąpić bawiącą w Berlinie p. Zimajer.

Teatr. Na scenie warszawskiej występuje w rolach gościnnych p. Antonina Hoffman.

Malarstwo. *Wernyhora* i *Hołd pruski* Matejki znajdują się abecnie na wystawie w Berlinie i zyskują uznanie krytyki niemieckiej dość szerokie.

— We Lwowie wystawiono dwanaście akwarel J. Kossaka, przedstawiających różne chwile z historyi rodziny Fredrów.

Światło i ciemność, odbitkę z plafonu Siemiradzkiego w domu Zawiszy, przesłał swym abonentom jako premium *Tygodnik ilustr.*

Bibliografia polska. K. Promyk *Jan Kochanowski*, Warszawa, Prószyński.

— Maryan Massonius *Szkice estetyczne*, Warszawa.

— K. Filipowicz *Wiadomości początkowe z botaniki*, Warszawa, Wende.

Sprawozdanie dra Fritschego o koloniach letnich zaznacza: wysłano ogółem na wieś 130 dzieci, które kosztowały 2390 rs. Cała ta gromadka była zdrową. Koszt utrzymania jednego dziecka (19 rs.) był znacznie mniejszy, niż w roku poprzednim, skutkiem zaprowadzenia pewnych oszczędności. Doświadczenie przekonało, że dzieci zbyt młode nie korzystają należycie z dobrodziejstwa i wymagają nader uciążliwej opieki. Na przyszłość też wysyłane będą tylko mające lat 9—14.

Metamorfoza. P. Cytowicz, b. profesor uniwersytetu odesskiego, później redaktor *Bisrega*, później marzyciel religijny, objeżdżający główne stacye katolicyzmu, wszedł w nową fazę: przybył do Petersburga i zamierza znowu starać się o profesurę.

Pomnik dla Bacha odsłonięto w Eisenach.

Prasa. Jak gdyby nie istniał... *Figaro*, zaczął w Paryżu wychodzić *Journal des Coccotes.*

Cholera w Neapolu wydobyła z charakterów wielu ludzi wspaniałe rysy poświęcenia. Oprócz czcigodnego króla Humberta, opiekował się także chorymi słynny poeta duński, Ibsen.

Pożar w zamku kopenhagskim, Christianborg, zniszczył mnóstwo dzieł sztuki. Muzeum Thorwaldsena jednak ocalało.

Ofiara. P. de Lenval (dawniej L. Loewenstein), zarządzający domem kupieckim Kronenberga, dla uczczenia pamięci swego niedawno zmarłego w Nicy syna, przeznaczył 60,000 rs. na wybudowanie domu sierot po robotnikach fabrycznych Warszawy. Jego zaś brat ofiarował 30,000 rs., od których procenty służyć będą na utrzymanie tego zakładu.

Pieniądze staniały, skoro jeden z hrabiów — jak donosi *Kur. warsz.* — na pamiątkę chrztu swej córeczki kazał wybić medal za 1140 rs. Kopernik takiego nie ma!

Napływ germański do Rosyi jest bardzo znaczny: podług *National Zeitung*, od r. 1875—1882 przesiedliło się 164.506 poddanych niemieckich i 185,390 austryackich. Połowa przyjęła poddaństwo rosyjskie.

Zaćmienie księżyca 4 b. m. z powodu gęstych chmur deszczowych widzialnem u nas nie było. Straciło na tem nietylko obserwatoryum astronomiczne, ale i ci, którzy wierzyli, jak się wyraża *Tyg. powszechny*, że ziemia księżyc „swym cieniem w papę uderzy."

Uwaga. W wrześniowym zeszycie *Ateneum* (str. 507) pan Aer, w ustępie z życiorysu Mickiewicza, twierdzi, że podczas pobytu poety w Odesie przebywał tam „młody Stanisław Moniuszko, ten, który później tak chętnie talent swój oddał na usługi poezyj Mickiewicza." W roku pobytu Mickiewicza w Odesie, Moniuszko miał *szósty* rok życia, nigdy w Odesie nie był i Mickiewicza osobiście nie znał. *J. Karłowicz.*

Zmarli: F. Boroński, dr. praw, członek Akademii w Krakowie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. B. w Pniewie. Brandes tom II ark. 13 do 18 posiadamy; kosztuje kop. 50.

Geometrze. Obie pisownie mają swoje uzasadnienie; pierwsza (*argumentum — argumenta*) łacińskie, druga (*-ment— -menty*) polskie. My trzymamy się drugiej. „Tą razą"—nowotwór językowy nielogiczny i niepotrzebny.

OFIARY.

Na powodzian Królestwa Polskiego i Galicyi: Edw. Piasecki rs. 15, Paweł Piasecki rs. 1, J. Tumulewicz rs. 15, Marya Eliaszewicz rs. 25, Woronicz rs. 3, Lucyan Meherycz rs. 2, Jaroszewski rs. 1, Kaźmier Dauter rs. 5, Marya Drzewińska rs. 1, Dawydenko rs. 3, Sokołowski J. rs. 1, Wolf Jan rs. 5, Sokulski rs. 5, A. Grodzki rs. 15, Kostkiewicz rs. 5 k. 84, Woszczarowicz rs. 3, Buliński rs. 5, Banaszkiewicz rs. 2, Pawłowski rs. 3, Strusiński rs. 3, Wilkoszewski rs. 3, Generowicz rs. 2, Woźnicki rs. 5, T. R. i Jul. Hud. rs. 15, Woźniacki rs. 3, Kernożycki doktór rs. 1, Chodkiewicz rs. 5, Witkowski rs. 10, Łukocijewski rs. 2, Ida i Antoni Ruszkowscy rs. 5, Gliński Bolesław rs. 10, Niedzielski rs. 1, W. Sochacki rs. 2 k. 16, Matylda Sochacka rs. 1, M. Lech rs. 1, S. Kornatowicz rs. 1, Wittman rs. 3, F. Brydyas rs. 1, W. Grzéen rs. 1, S. Hartung rs. 3, X rs. 1. Jankowski kop. 50, Kpokun rs. 1, X kop. 50, Wierzbicki rs. 5, Wiktor Bocheński rs. 10, Zenon Augostoski rs. 5, W. Niłbylowski rs. 10, Twarowski rs. 10. Kłodowski rs. 5, Rychliński rs. 1, Boczełański rs. 1, Adam Zahorski rs. 3, Słuczanowski rs. 5, W. Czeremżyński rs. 2, Gejsztor rs. 2—za pośrednictwem E. Piaseckiego; J. Dmowski rs 1.

Dla biednej. M. Eliaszewicz rs. 10 z Irkucka, Pląskowska Justyna rs. 5, Pląskowska Joanna rs. 2, Minkiewicz Feliks rs. 3, Koperski W. rs. 3, Letki E. rs. 3—z Irkucka za pośrednictwem F. Letkiego.

Na wpis dla uczniów. K. P. rs. 3.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Сентября 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.